

IRENA OLIZAR

/tekst relacji nagranej w 1989r. w Raciążu przez M. Giżejewska/

Urodziłam się 23.08.1926r. w małym miasteczku - Łunna nad Niemnem w pobliżu Grodna. Dziadkowie mieli mały własny domek z ogródkiem. Mieszkałam tam z mamą. Mama moja była niezamożna ale bardzo ładna. Wyszła za mąż za Polaka, który przyjechał ze Stanów "jednoczonych. Małżeństwo to jednak trwało krótko - mój ojciec wyjechał do Stanów zaledwie parę tygodni po ślubie i potem bardzo mało mamie pomagał. Tak więc mieszkaliśmy we dwie z mamą u dziadków. Dla mnie najukochańszy był dziadek. Gdy byłam mała to na pytanie, kto jest dla ciebie najlepszy, odpowiadałam: "Jak nie ma dziadka, toi babcia dobra. A gdy nie ma babci - to i mama dobra". Ogród i sad dziadków do dzisiaj wspominam - takie były piękne. Dziadus zajmował się pszczołami i ogrodnictwem.

Do szkoły chodziłam w Łunnie. Wkrótce potem mama wyszła po raz drugi za mąż i wyjechała do Świsłoczy /k/Wołkowyska/ małego, zażytkowego miasteczka, dawnej posiadłości Tyszkiewiczów. ~~Rzeka~~ W ich pałacu mieściło wówczas gimnazjum koedukacyjne im. Traugutta. Chodziłam tam do szkoły i był to chyba najprzyjemniejszy okres w moim dzieciństwie, bo szkoła mnie całkowicie pochłaniała. Nauczyciele wychowywali nas bardzo patriotycznie, a ja do wszystkiego się włączałam. Najpierw - do zuchów, mimo, że mama nie bardzo się na to zgadzała. Pamiętam przysięgę zuchów, na której wręczano gwiazdki. ^{Ma} Niedawno przyjechałam i nie miałam jeszcze mundurka. Ale nauczycielka była mądra i wyrozumiała, pozwoliła mi przyjść w czarnym fartuchu. Dostałam gwiazdkę - i mama skapitulowała. Potem należałam oczywiście do harcerstwa. ^{Ma} Mając 13 lat byłam już zastępową - jedyną w tym wieku. Dobrze się uczyłam - przez całą szkołę nie miałam żadnej trójki. Przez pewien czas byłam prymuską w szkole /nie w klasie/

W 39r. na wiosnę zdawałam do gimnazjum - było to bardzo duże przeżycie. Zdałam jednak. W maju miałyśmy przysięgę - dostałam krzyż harcerski, ale legitymacji nie zdążyli nam wręczyć. Na wakacje pojechaliśmy z przyrodnim bratem do babci. Tam przeżyliśmy początek wojny.

Był to piątek. Widziałam lecące samoloty - najpierw z biało-czerwoną krata, potem ze swastyką. Było to straszne, ale cały czas nie wierzyłam, by Polska mogła przegrać w tej wojnie. Do Swisłoczy nie można już było potem normalnie dojechać. Przyjechał ojczym i z nim wracaliśmy do domu różnymi środkami lokomocji. Po drodze trzeba było wysiadać i chować się w rowach, bo samoloty niemieckie ostrzeliwały wsie i pola.

W Swisłoczy rok szkolny zaczął się dopiero 9 września. Ale krótko była to polska szkoła. Pamiętam, jak czekaliśmy na wejście Niemców. Ojczym z synem uciekli na wschód, a ja zostałam z mamą. Pewnego dnia poszliśmy do magistratu i tam spotkałyśmy ułana - pięknego mężczyznę, ale śmiertelnie zmęczonego po potyczce z Niemcami. Zabili mu konia, on wziął siodło i przyszedł do Swisłoczy prosić o kwaterę. Jak to usłyszałam, zaczęłam nalegać żebyśmy wzięły do siebie tego ułana. Wyperswadowano mi to jednak tłumacząc, że od naszego domu trudniej by mu było uciec jak przyjdą Niemcy. Tego dnia kładłam się spać ze świadomością, że jutro przyjdą do nas Niemcy i że Polska traci niepodległość. Było to dla mnie straszne przeżycie. Po paru dniach wrócił ojczym z synem, ponieważ dowiedzieli się przez radio, że Rosja wkracza na nasze tereny. Po 17 września odkryłam, że ludzie, o których zupełnie inaczej dotąd myślałam, chodzą w czerwonych opaskach. Okazali się komunistami. Byli wśród nich nasi znajomi - do tej pory bardzo przyjacielscy, m.in. Rosjanin, który podszedł do nas i z radością oznajmił mamie, że idą bolszewicy. Byłam wściekła na niego. Nie chodziło mi jednak konkretnie o bolszewików, tylko o tych, którzy zdradziecko zaatakowali nasz kraj. Wychowywano nas patrytycznie, ale bez szowinizmu, nie nastawiano nas przeciwko komuś, zwłaszcza sąsiadom.

18 września przyszli bolszewicy. Przed nimi przez Swisłocz przejechali żołnierze z III-go pułku strzelców konnych z Wołkowyska. Wracali z frontu do swoich koszar, ale okazało się, że koszary zostały już rozgrabione przez Rosjan. Uciekli więc na południe. Zaraz po ich odejściu Białorusini i Mydzi z czerwonymi opaskami witali sowieckie czołgi. Pamiętam kiosk z gazetami, który prowadził inwalida - bez nóg. I on wdrapał się na kiosk

i własnoręcznie zawiesił na nim czerwoną flagę. To było straszne. Czołg gonił ten oddział strzelców i dogonili ich jeszcze w Swisłoczy. Widziałam, jak klapa czołgu się otwiera i jakiś żołnierz wychyla się i mówi po polsku: "Panowie, poddajcie się". A oficer do swoich żołnierzy: "Nakoń" Żołnierze zaczęli uciekać ulicą Kraszewskiego, na końcu której był nieczynny wówczas kościółek unicki. Za tym kościółkiem Rosjanie ich dogonili i pobili. Było dużo rannych - zanosiliam im potem do szpitala jedzenie.

W szkole do Bożego Narodzenia byli jeszcze nasi nauczyciele. Natomiast w 2-gim półroczu przyszli nauczyciele rosyjscy nie znający zupełnie języka polskiego - nic nie rozumieli. Więc my z konieczności musieliśmy się uczyć rosyjskiego. I już poziom nauki był nie ten i chęć do niej nie ta. Miałam już wówczas trójki. Nie dlatego, że nie potrafiłam opanować materiału, ale nie chciałam się tego uczyć. Tak trwało do 41-go roku, kiedy tym razem Niemcy napadli i Rosjanie uciekali w popoachu, często nawet w bieliźnie. Przedtem były wywozy - wiele rodzin wywieziono do Rosji. Myśmy też byli na liście i wyznaczono nasz transport na piątek w czerwcu - tuż przed wybuchem wojny. W ogóle od początku wojny spaliliśmy stale w ubraniach czekając na te wywozy. Z naszego mieszkania wyrzuciło nas NKWD już w 39 r. i mieszkaliśmy u znajomych.

W czerwcu 41 r. siedzieliśmy w piwnicy chroniąc się przed niemieckimi nalotami. Wojska rosyjskie nie chciały zabierać "swoich", czyli rodzin rosyjskich, które błagały, żeby ich oficerowie zabrali przed Niemcami. Pamiętam te płaczące kobiety z dziećmi, niektórym udało dostać się na wojskowe ciężarówki... Pamiętam, że dziecko jednej z kobiet nie chciało za żadne skarby wejść na ciężarówkę i zostało z matką. Potem okazało się, że tę ciężarówkę kilka kilometrów za miastem zbombardowano i wszyscy zginęli... dziecko widocznie to czuło.

Artyleria bombardowała Swisłocz i wieczorem Niemcy miasto zajęli. Myśleliśmy, że tej nocy będzie można normalnie się przespać. Rozebraliśmy się i poszliśmy spać. Tymczasem nad ranem obudził nas jakiś straszny

chłód. zerwałam się, patrzę, a tu z pokoju widać nieboż Okazało się, że Niemcy zbombardowali dom naszego gospodarza. Pył, huk, strach. Byliśmy rozebrani, więc chwyciłam jakąś jesionkę i wszyscy zeszedliśmy do piwnicy gospodarza, bo do naszej już nie zdążyliśmy /była dalej/. Cicho było szkła, pokrwawiliśmy sobie nogi. Po jakimś czasie ojczym wyszedł i rozmawiał z naszym sąsiadem z drugiej strony podwórka. W pewnej chwili tamten padł zabity, a ojciec został.... cały. Wraz potem bomba uderzyła za dom i odłamek uderzył w naszą piwnicę - tę, do której nie zdążyliśmy dojść, a w której schronił się gospodarz z narzeczoną. Dziewczyna została zabita....

W domu zaczął się pożar. Ojczym z synem powrzucałi z domu różne rzeczy do jeha po bombie i tylko tyle nam zostało, bo wszystko zaraz spłonęło. Uciekliśmy przez zgliszcza i dymy do gospodarstwa znajomych - pp. Szaciłowskich. Ja byłam tylko w koszuli nocnej i jesionce, ale jakaś koleżanka, która ubrała się w dwie sukienki w trakcie ucieczki - dała mi jedną. Wieczorem Niemcy zaczęli ustawiać armaty tuż pod oknami, w krzakach bzu. Całą noc trwała kanonada. Siedzieliśmy w piwnicy, nic nam się nie stało, ale strachu było sporo. Pewnego dnia przysła olbrzymia burza - grzmoty, ulewa, ale tego już słuchałam z przyjemnością i od tego czasu nie boję się żadnej burzy.

Niemcy zostali na tamtych terenach do 44 r. Myśmy jednak długo nie mieszkali w Świsłoczy - na szczęście, bo Niemcy bardzo wielu Polaków rozstrzelali z namowy Komitetu Białoruskiego / była to organizacja proniemiecka i bardzo antypolska/. przed wojną nie odczuwało się antagonizmów narodowościowych, zwłaszcza z Białorusinami; chodzili z nami do szkoły, byli w naszym harcerstwie. A potem donosili niektórzy na swoich kolegów, np. Janek Szarik, który uczył się za darmo i którego nikt z nas nie skrzywdził.

Po tym nalocie i zniszczeniu domu ludzie przynosili nam różne rzeczy w prezencie, bo przecież nic nie mieliśmy prócz pościeli. W końcu ojciec zdecydował, że pojedziemy do Lunnej, gdzie mieszkali rodzice jego i mamy.

Do Wołkowyska dojechalismy kolejką, potem 22 km pieszo i wreszcie jakąś furmanką. Okazało się, że rodziców ojca bolszewicy wywieźli razem z resztą rodziny. Po paru tygodniach staruszkowie wrócili spod Stołpców - transport ludzi Niemcy zbombardowali i bolszewicy uciekli.

W czasie okupacji niemieckiej przyjeżdżali różni ludzie z kraju wielu łączników z AK. Zaczęła się organizacja lokalnych oddziałów AK. Każdy szanujący się Polak musiał do nich należeć. Ja oczywiście też - jako harcerka. Początkowo nosiliśmy opatrunki dla rannych żołnierzy. Niemcy zabraniali sprzedaży w aptece opatrunków i leków dezynfekujących. Każdego, kto je kupował należało zameldować w żandarmerii. Dookoła Łunnej była partyzantka polska, sowiecka również. Granica biegła przez Niemen i na drugą stronę było raczej trudno się przedostać, zwłaszcza, że most był zerwany. Do Grodna kursował prom. Przewoziliśmy opatrunki, bibułę, leki. Do szkoły wtedy nie chodziliśmy, uczyłam się prywatnie u p. Wandy Falkowskiej. Poza tym pracowałam / żeby mnie nie wywieźli do Niemiec / w aptece mojego dziadka. Realizowałam recepty, była to zupełnie poważna praca. Mimo wszystko i tak chcieli mnie wywieźć. Musiałam uciekać do miasteczka Rosin, gdzie też pracowałam w aptece, również przy wykonywaniu recept. W niedzielę jechałam na rowerze do domu. Było tam towarzystwo - 3 panów: lekarz, jego syn student medycyny i syn właściciela pobliskiego majątku. Przytłoczyli do nas na karty /oficjalnie/. Było to trochę niebezpieczne, bo Niemcy chodzili po domach i sprawdzali wszystkich. Ale dzięki temu, że mama dobrze znała niemiecki, mieli do nas inne podejście.

W Łunnej mieszkał lekarz - Rosjanin, który działał w Komitecie Białoruskim i knuł spiski przeciwko Polakom. Powiedział nam o tym później żandarm niemiecki - okrutny człowiek, który jednak nas ostrzegł. Żandarm opowiadał, że ten lekarz zasypywał go donosami, zwłaszcza o nas, np. o tym, że w naszym domu działa tajna organizacja. Jakos się z tego wykręciliśmy, mimo, że żandarm często nas odwiedzał o różnych porach dnia. "końcu lekarz musiał wyjechać - jakoby uciekał przed partyzantami. A u nas bywało kilku podoficerów, których mama

ostrzegła. Dzięki temu w Łunnej nie było prawie wcale ofiar.

W 44 r. front zaczął się przesuwać na zachód i Niemcy uciekali. Nasz dom z apteką stał przy szosie i widzieliśmy, jak Niemcy pędzili rosyjskich jeńców. Strasznie się z nimi obchodzili - zupełnie jak z bydłem, a ci ludzie byli brudni, głodni. Ja z okna zaczęłam im rzucać chleb, o który jeńcy bili się między sobą, a Niemcy bili ich wszystkich. Krzestałam więc rzucać. Były to okropne sceny. Rosjanie jednak lepiej obchodzili się później z jeńcami niemieckimi.

Łunna została zajęta przez wojska rosyjskie 15 lipca 1944r. Ale przedtem cała rodzina, prócz ojca, wyjechała na wieś. Niemcy kazali ojcu spakować wszystko a aptecę i chcieli go zabrać ze sobą. Ojciec jednak uciekł, a Niemcy podpálili aptekę i nie pozwolili jej nikomu ratować. A był to dorobek całego życia dziadka. Bardzo to przeżył, ale i tak bolszewicy by to zabrali. Musieliśmy jakoś dalej żyć. Ojczym ze swoim bratem zorganizowali aptekę z leków, które uratowały się w piwnicy. Apteka była już jednak państwowa.

Po tym drugim wkroczeniu Sowietów panowało przygnębienie, nie było już tylu morderstw, jak w czasie pierwszej inwazji /np. w 39 r. rozstrzelano na oczach całej rodziny posła na sejm, kalekę - p. Bołocia/. Ale i po "wyzwoleniu" Rosjanie też byli straszni. 12-go i 13-go grudnia 44 r. Rosjanie postanowili oczyścić sobie tyły i aresztowali wszystkich Polaków od Wilna aż po Wołkowysk - wszystkich mężczyzn m.in. wielu Białorusinów. Ojca i brata wywiwziono do obozu - do rep. Komi. Zostałyśmy same. Mama nie radziła sobie w domu, więc musiałam ja dawać sobie radę i w gospodarstwie i w aptece. A jeszcze musiałam wysyłać paczki do obozu. Dziadek prowadził księgowość w aptece, ale nie tak, jak sobie życzyli bolszewicy. Zawiozłam kiedyś prowadzone przez niego księgi do miasta, a tam zaczęli wydziwiał: jak ten wasz dziad prowadzi księgowość, co on tam wyczynił, to nic, że on ma 86 l. on jeszcze może siedzieć w więzieniu. Krzeraziłam się i zaczęłam ja sama to prowadzić, mimo, że nic nie umiałam. Pytałam się różnych znajomych i wreszcie tak się wyćwiczyłam, że byłam najlepszą księ-

gową w całym rejonie, a miałam 18 lat. Oboje z dziadkiem pracowaliśmy w aptece jako pracownicy państwowi. Musiałam przecież zarobić na rodzinę i na paczki do obozu. A wszystko znowu straciliśmy. Towary do apteki wozilo się ze stacji w Grodnie - ładką, a potem na plecach 6 km. Najtrudniejsze było jednak wysyłanie tych paczek do obozu, bo nie chcieli przyjmować. Ja znalazłam jednak takie "źródło", dawałam łapówki i moje paczki zawsze dochodziły. Tak ciągnęło się to dwa lata dopóki ojczym nie wrócił. Brat po powrocie szybko się ożenił i pojechał do Polski. My zostaliśmy. Ja koniecznie chciałam się uczyć, skończyć chociaż maturę. Mieszkałam w Grodnie, gdzie zdałam maturę jako eksternistka w rosyjskiej średniej szkole. Znałam już dobrze rosyjski. Jeszcze w trakcie nauki zaczęto mnie wzywać na NKWD na przesłuchania. Po przesłuchaniach zawsze mnie odprowadzali do domu - i to mnie najbardziej denerwowało. A korespondowałam wtedy z jednym z tych trzech panów - panem Tarasewiczem. listy były oczywiście czytane i często zatrzymywane. Na przesłuchaniach pytali mnie o niego - siedział wtedy w obozie w Komi - za co on siedzi, a jeśli nie wiem, to mam się dowiedzieć. Odpowiadałam, że mnie to nie interesuje, jak chcą, to niech sami się dowiedzą. Wzięli mnie wtedy w trzy ognie: czym się zajmuję, czym się interesuję, co wiem o różnych naszych znajomych itp. Powiedziałam, że teraz interesuję się tylko książkami i zaczęłam mu wymieniać mnóstwo książek, które przeczytałam. Sledczy powiedział, że starczy. i następane pytanie: kogo znam z wcześniej aresztowanych?. zaczęłam wymieniać tych, którzy zmarli w obozach. A on znowu na mnie popatrzył i powiedział: starczy.

Po zrobieniu matury chciałam zdawać na psychologię, ale w Grodnie tego wydziału nie było, więc poszłam na Wydział Języków Obcych - przyjęto mnie w 48r. I dokumenty, które ~~tam~~ złożyłam przeleżały ~~xxxxxxx~~ tam aż do mojego powrotu z obozów. Przetłumaczyłam bał naturalny, byli na nim bardzo mili koledzy /Rosjanie/, którzy mi bardzo pomagali na maturze, m.in. dostałam ściągę z historii partii, o czym nie miałam pojęcia.

17 stycznia 48 r. przyszło NKWD i aresztowało nas wszystkich, ojczyrna, matkę imnie, bez żadnych zarzutów. Był jeszcze 8-letni chłopak, wychowakel rodziców, któremu zostawiłam pierścionek babci.

Zaprowadzili nas - wszystkich z AKX- , 19osób, do ciężarówki. Przejeżdżaliśmy koło domku dziadków, zobaczył i nas, przeszki do promu, tam siedli i płakali. Już więcej dziadka nie widziałam.

Zawieźli nas do Grodna i po 2 dniach różnych pytań - aresztowali. Okazało się, że zostaliśmy wydani przez członka naszej organizacji, który raz się upił, wykiuł dziury na portrecie Stalina, złapali go i zaczęli naciskać. Człowiek ten niedawno się ożenił, miał małe dziecko, myślał, że się obroni. Wydał więc nas wszystkich, wydał oczywiście tylko to, co wiedział.

Chcieli jeszcze na nasze głowy zrzucić inną sprawę. W okolicach Łumny pewien milicjant sledził partyzantów i oni go wkońcu zastrzelili. Ja tylko tyle miałam z tym wspólnego, że widziałam jego pogrzeb w Grodnie. Ale oni pokojarzyli ze sobą różne fakty: wyktyli tajną organizację i zabójstwo zwalili najej barki, bo partyzantka była wtedy nieuchwytna. W naszym miejscowym AK było ok. 60 osób, a wykryli tylko 19.

Zawieźli nas do piwnicy i zaczęło skę sledztwo, bardzo uciążliwe, bo nie można było spać - w dzień nie wolno było, a w nocy przesłuchiwali - wzywali po 3-4 razy w ciągu nocy. Nic z nas nie wydusili. Ja stawiałam się mocno, w ogóle się nie bałam. Np. jeden mówi: "Wasi oficerowie tylko damy zabawiać potrafią". To już było po Katyniu, o którym wiedzielismy, więc powiedziałam: "Co? Damy zabawiać? Niech mi kto pokaże waleczniejszego w swiecie żołnierza od polskiego" - "No, cóż, waszej Polski za 3 tygodni nie stało" - A ja na to: "Bo wyście nam nóż w plecy wsadzili, napadli zdradziecko. A dlaczego to wy - tylko od jednego Niemca - aż pod Moskwę uciekaliście?" - "No, ale myśmy potem zwyciężyli." - "Tak? Zwyciężyliście. Dojechaliscie na amerykańskiej tuszonce i na amerykańskiej broni".

I ku mojemu ogromnemu zdziwieniu sledczy zostawił mnie samą w pokoju / czego nie wolno było robić / i uciekł. Dopiero po pewnym czasie przyszedł

drugi. Wszyscy przyznaliśmy się do AK, ale niczego innego się nie dowiedzieli. Naszego plutonowego tak zbili, zmasakrowali, że po 8 dniach jego rodzona siostra go nie poznała. Siostra ta przechowywała jego broń, jakiś nagan. Gdy wezwali ją na świadka i skonfrontowali z bratem, śledczy zapytał: "Znacie tego człowieka?", a ona mówi, że nie. I dopiero, gdy brat odezwał się - głosem jak z podziemi - "Mila, oddaj broń." - rozpoznała go. Jak wróciła potem do celi, to myślałam, że ta kobieta straci zmysły, tak była przerażona tą masakrą.

Mnie jednak nie bili, tylko męczyli psychicznie.

Paczki dostawaliśmy dopiero po zakończeniu śledztwa. Ojczyma uwięzili wcześniej i wypuscili po 10 dniach, a nas z matką zatrzymano i sądzono z tego samego paragrafu.

Zaczął się proces. Najpierw podpisano papiery u prokuratora. Sądził nas sąd wojskowy - wojenny trybunał - w październiku 48 r. Z 19 osób 17 dostało po 25 lat pracy w ciężkich obozach plus 5 lat pozbawienia praw i konfiskata mienia. Ponieważ wtedy była zawieszona kara śmierci - dostaliśmy najwyższy wyrok. Tylko 2 osoby dostały 10 lat, Mama i ja też po 25 lat. Zawieźli nas do stałego więzienia. Jeszcze przed zakończeniem śledztwa zawieźli mnie do NKWD i zaczęli wałkować sprawy, o których absolutnie nie powinni byli wiedzieć. O dostarczaniu leków i opatrunków partyzantom w okolicy jednej szlacheckiej wsi, w której wszyscy należeli do AK. Przeraziłam się, że ich wykryją, zaprzeczyłam wszystkiemu i o dziwo dali spokój. O tym jednak mogła wiedzieć tylko moja mama i młody człowiek, który te leki odbierał. Potem okazało się, że moja mama

W więzieniu dawali jakieś środki odurzające, po których ludzie mówili wszystko. Stwierdziłam to na przykładzie mojej mamy i wielu jeszcze innych osób, które były zupełnie odurzone. I ja sama po tym więzieniu okropnie stryciłam pamięć tak, że dopiero po 6 latach zaczęłam sobie przypominać o by, rozmowy, fakty i powoli zaczęłam czytać. Dlatego przypuszczam, że oni do jedzenia dodawali jakieś narkotyki, a Mamę zastraszała, pokazując jej jakąś buteleczkę: mów, bo widzisz co zaraz dostaniesz. Mamę posadzili w celi obok mnie, słyszałam, jak się zachowywała, śpiewała, szalała, wykrzykiwała. To było straszne, przedtem była zdrowa. Lekarka zaczęła przee m-

mnie, na pytanie co zrobili z moją matką, odpowiadała lekceważąco, że to chwilowa psychoza. Po jakimś jeszcze więzieniu matka wróciła do siebie.

Nie mam bezpośrednich dowodów, że nas truli, ale z różnych objawów wniwioskuję, że tak było.

Jeszcze przed wyjściem z więzienia udało mi się spłatać figła strażnikowi i zamknąć go w ubikacji.

W więzieniu odebrano nam medaliki. Kiedyś kazano nam sprzątnąć dyżurkę, w której przedtem siedziała grupa złapanych partyzantów. W kącie leżał cały stos medalików, ostrych narzędzi i sznurowadeł. Kazano nam to wyrzucić. Pilnował nas dozorca. W pewnym momencie, myśląc, że on na mnie nie patrzy, schyliłam się i wzięłam jeden medalik. Zaraz krzyknął: pokaż co wzięłaś?. Ja na to, że nic. Wiedziałam, że jemu nie wolno zrobić rewizji, a zanim przyjdzie kobieta, już nic nie będę miała. Więc mi powiedział: jeśli mi pokażesz, co wzięłaś, to ci to oddam. Nie miałam wielkiego wyboru, pokazałam medalik, a dozorca: weź sobie. Zaszyłam ten medalik w kołnierzu płaszcza, przeszedł przez wszystkie rewizje i wrócił ze mną do domu. Mam go do dziś i uważam go prawie za relikwię.

W styczniu 49 r. zostałam wywieziona na etap. Cała podróż trwała miesiąc, zatrzymywaliśmy się m.in. w Orszy, w Moskwie, Swierdłowsku, Nowosibirsku i wreszcie dotarliśmy do Tajszetu. Najpierw do obozu przejściowego, potem do zwykłego, na 112 kilometrów, licząc od Tajszetu, wzdłuż linii kolejowej, prowadzącej do Bracka odległego o ok. 300 km. W obozie tym przebywali przed nami jeńcy japońscy. Było więc względnie czysto, dużo dekoracji z białej brzozy. W porównaniu do innych obozów było tam wspaniale. Spotkałam tam wiele Polek, m.in. Teresę Skalską, Krysie Zajączkowską. Były tam same polityczne, bo był to obóz "specjalnego reżimu" / łagiera osobowo reżima /. W tym obozie mieliśmy paskudnego naczelnika.

Okolo 75% więźniarek było Ukrainkami, również polityczne, skazane za zdradę ojczyzny, tzw. banderowki. W naszym baraku było tylko kilka złodziejek, recydywistek. Ukrainki często pięknie spiewały, m.in. piosnkę ze słowami, że "Kijów będzie stolicą, a Moskwa powali się". Słyszały to te

biadryje, doniosły naczelnikowi obozu i cały nasz barak - około 150 os. zamknięto. Tzn. wyprowadzano nas na dzień do pracy, ale zaraz po powrocie cie zamykano na zamki. Do środka wstawiano ogromny pararóg, który trzeba było rano wynosić. Błatniaczki wydały 3 dziewczyny, które to spiewały. Zostały zabrane do karceru, a przedtem były bite. Przez pewien czas nie wiedziałysmy, kto to doniósł, Ukrainki pstrzyły na mnie podejrzliwie, bo siedziałam obok spiewających. Powiedziałam im, że po pierwsze wiedzą, że ja nie donoszę, po drugie - bardzo lubię ich piosenki i nie zawsze rozumiem słowa, tylko słucham melodii i tym razem nie zwróciłam uwagi na te słowa, a po trzecie - nie miałabym nic przeciwko temu, żeby "powalitaś się Moskwa". Potem doszliśmy do tego, kto wydał. Tamte dziewczyny dostały, biedne, nowy wyrok. A nas trzymano miesiąc w takim rygorze., z rewizjami baraku i osobistymi.

Pewnego dnia dostałam paczkę z domu, w tekturowym, białym pudełku. Dziewczyny namówiły mnie, żeby z tego pudełka zrobić karty do wróżenia. Te, które umiały ładnie rysować, zrobiły talię kolorowymi farbami / wykradzionymi z jakiegoś warsztatu /. Talia ta służyła do wróżenia i wędrowała po całym baraku. Nagle rewizja, kazano nam wyjść z baraku. Wsunęłam te karty do rękawa, a byłam jeszcze wtedy niedoswiadczoneym więźniem. Przed barakami zobaczyłam naczelnika obozu. Cofnęłam się więc, żeby gdzieś w baraku te karty schować. Wsadziłam je za drzwi, ale naczelnik wszedł zaraz zamyką i oczywiście natychmiast te karty znalazł. Stałam przy baraku i czekałam, co będzie dalej. Naczelnik wyszedł, podniósł karty do góry i zapytał, czyje są. Odpowiedziałam od razu, że moje - nie chciałam, żeby znów cały barak odbywał karę zamknięcia - a on się zdziwił i zapytał: wasze? i kazał wstąpić do szeregu. Stoję i denerwuję się, czy cały barak przez to nie będzie cierpieć. Dopiero po rewizji osobistej nastąpiło zdumiewające dla mnie rozwiązanie. Naczelnik zaczął krzyczeć na jakąś Rosjankę / już nie pamiętam za co / że: "po co to kłamać, ot, człowiek się przyznał". " I ja mu darowałam". On był po prostu zdziwiony tym, że ktos się przyznał. A tę Rosjankę od razu zapędził do karceru. Ze mną jednak zaczął śledztwo. "Po co wam były te karty?

"Wyscie pewno mnie chciały przegrać w karty?" - a ja jeszcze wtedy nie znałam tych zwyczajów u "błatnych" i zdumiona tłumaczyłam mu, że myszki tylko wróżyły. W końcu ostentacyjnie te karty podarł, a mi się ich żal zrobiło. Ale żadnej kary za to nie dostałam.

Do pracy chodziliśmy do lasu - rąbać drzewo. Chodziliśmy jeszcze na rzekę Czuksza, nad którą były zbudowane rusztowania z ciężkich, grubych kłbców drewnianych. Kazano nam je rozbierać. Pewnego razu, gdy kilka dziewcząt pracowało na górze, wszystko się załamało i dziewczyny spadły na ziemię. Jedna z nich miała połamaną miednicę, ale reszcie nic się nie stało.

W obozie na 142 km było jedzenie dość znosne, podstawą były ~~mięso~~, cerealia, zdarzało się jednak, że dostawaliśmy także mięso. Przed Wielkanocą postanowiłam poscić w Wielki Piątek i nie jeść chleba. Ale już po powrocie z pracy koleżanki mnie prowadziły, bo nie miałam siły. I więcej tego nie robiłam, zrozumiałam, że to nie jest tu potrzebne.

W czerwcu pojawiły się stada muszek, które oprócz tego, że dosłownie wyżerały nam dziury we wszystkich odkrytych miejscach, to jeszcze okropnie działały na nerwy. Te bestie boją się tylko wiatru, no ale w tajdze wiatru nie ma.

Po pewnym czasie wywieziono mnie na wschód, na 238 km / od Tajszetu, w kierunku Brackań Był to obóz karny, ale ostrzejszy niż poprzedni. Może wysłali mnie tam za te moje pyskówki na sądzie, bo po wyroku powiedziałam, że jeszcze za mało zrobiłam.

Na tym 238 km zaczęła się makabra. Ten okres jest dla mnie jak najgorszy sen - najgorszy okres życia obozowego. Było nas tam 500. Karmiono nas jak w chlewie. Było to lato syberyjskie - sierpień... Jedzenie, chleb nalewany do formy, rzadki - jak go zdusić, to leciała z niego woda. Zupa okropna - zaprawiana / zamiast tłuszczem / proszkiem rybnym, cuchnącym, okropnym do tego stopnia, że prosiliśmy, żeby nam tego nie dodawano, a jeśli już trzeba, to żeby dawali osobno, bo to wszystko razem było niejadalne. A zupa to była po prostu osolona woda. Raz jedna dziewczyna krzyknęła: "Słuchajcie, mamy dziś zupę grochową" - znalazła w niej dwie łuski grochu... Oprócz tego dostawaliśmy ryby, śledzie i in

i inne, najczęściej z robakami albo zgniłe. Ja tego - mimo głodu - nie mogłam jeść.

Praca była ponad ludzkie siły, nie tylko kobiece, ale ludzkie. Kuliśmy skałę wzdłuż linii kolejowej, porządkowaliśmy tak zwane płótno kolejowe. Nie było tam żadnych osiedli, tylko przeprowadzony dopiero co tor kolejowy, trzeba było robić rowy wzdłuż torów i posypywać szyny. Najgorazsze było kucie skały tępymi narzędziami. Tę skałę wysadzili dopiero wtedy, kiedy już prawie było wszystko gotowe.

Kiedys cały dzień padał deszcz, suchej nitki na nas nie było. Oprócz tego nie można było nic robić, bo rowy były pełne gliny, która przyczepiała się do nóg razem z okruchami skał i wszystko "wynosilo" się z tych rowów. Przychodzi naczelnik obozu. Brygadierka zwraca się do niego: "Proszę nas zwolnić dzisiaj i puścić do obozu. Jesteśmy zupełnie mokre i ta nasza praca na nic się nie przyda. Lepiej jutro dwie godziny dłużej popracować i zrobić wszystko". Naczelnik popatrzył na nią i powiedział: "mnie nie potrzebna wasza praca, tylko wasza męka".

Służba obozowa była częściowo złożona z kobiet więźniarek, które na ogół nam współczuły. Na 112 kilometrów była felczerka - Rosjanka, która starała się pomóc. Natomiast władze obozowe były obrzydliwe, męczyli nas na różne sposoby, zwłaszcza głodem i ciężką pracą. Moje koleżanki były do tego stopnia głodne, że chodziły po śmietnikach i wybierały z nich rybne głowy /więcej tam nic nie można było znaleźć/. Ja też miałam chęć tak robić, ale wstyd mi było - przed sobą. Nie mogłam się tak upodlić, bo przecież jestem Polką i nie mogę sprawić wstydu mojej ojczyźnie - w żaden sposób.

Racjonowano nam wodę. 50m od obozu płynęła rzeczka, wody nie było w niej dużo, ale można było przywieźć tyle ile trzeba. Ale nie przywozili jej ani do kuchni ani do obozu - dostawaliśmy 1 litr dziennie na osobę. Można z nią było robić co się chce - myć się, pić, prać - wszystko z tego jednego litra. Naturalnie wszystko wypijałyśmy, bo było lato upalne, a praca ciężka. Chowaliśmy się czasem trochę wody na zapas pod prycze, ale inne kobiety zawsze ją wypatrzyły i wypijały.

Ja sama chodziłam do kuchni kraść wodę /wszystkie kradłyśmy/. Z higieną było okropnie - żarły nas wszy i pluskwy, łańnia była najczęściej co 10 dni, ale tam też dostawało się mało wody. Prać nie było wolno. Oddawało się do prania 3 sztuki ubrania, ale "sztuka" to był zarówno biustonosz, jak i spodnie.

W lecie w pracy na powietrzu strasznie dokuczala "meszka". Kiedyś wyszłam tylko w ponczochach, nie wiedząc jeszcze, że te bestie jak poczują krew to się zaraz rzucają całymi cmarami - i dosłownie w ciągu paru minut nie miałam nie pgrzyzionego miejsca na ciele. Działo to fatalnie na system nerwowy, bo pgrzyzione miejsca piekły, puchły, a nie wolno się było drapać. Wtedy, zdesperowana i wykończona nerwowo, postanowiłam, że wyjdę za "zapritkę" /za strefę oznaczoną tabliczkami, za którą nie wolno było wyjść. Jeśli się wyszło, to konwój strzelał bez uprzedzenia/. Wydawało mi się, że już więcej tego życia nie wytrzymam. I tu ukazała się wielka solidarność moich dziewczyn obozowych. Ukrainki wyznaczyły spośród siebie jedną młodszą dziewczynę, której kazały mnie pilnować, żebym nie wyszła poza tę strefę graniczną. Dzięki temu żyję..... Nie ulega bowiem wątpliwości, że zastrzeliliby mnie. Byłam świadkiem, jak próbowali zmusić jedną dziewczynę, żeby wyszła poza tę strefę i zastrzelić ją / za coś się naraziła konwojowi/, ale postawa nas wszystkich była taka, że im się nie udało.

Po tym wypadku chodziłam już w spodniach. Ubrania wszystkie dostawaliśmy - łącznie z bielizną, nawet ze stanikami. W czasie miesiączki używałyśmy jakieś stare szmaty. Żadnych środków higienicznych nie było.

W baraku było ok. 150 osób, ale czasem dochodziło do 450. Wtedy było to nie do zniesienia przez ustawiczny gwar, przy 150 osobach dało się wytrzymać.

Pracowałyśmy tam przy wykuwaniu szurfów w skałę - do dziś mam uszkodzony palec od tłuczenia łonem w skały. Robiły mi się wrzody przy kości - do dziś to czuję. W tym też obozie poważnie zachorowałam. Przyjechał pułkownik-lekarz i komisja. Wchodziło się na badania nago, lekarz kazał obracać się przodem, tyłem i spytał mnie dlaczego ja mam obrzęk-

nięte nogi. Odpowiedziałam, że nie wiem. On na to, że to pewno od pogryzienia przez meszkę. Wyjaśniłam, że ja nie puchnę od meszki /niektórzy puchli bardzo/. Lekarz pokrzyczał, postukał pięścią i kazał zgłosić się do kierowniczkii "sanczasti" - z jego polecenia. Ona natychmiast dała mi zwolnienie z robót poza-obozowych i dostałam pracę w obozie - daleko lżejszą: piłowanie drzewa na opał, pomoc przy kuchni, porządkowanie obozu itp. Ta moja opuchlizna to była cynga /awitaminoza/.

Ale potem zaziębiłam się silnie. Leżałam w baraku, dziewczyny przykrywały mnie czym się dało, a ja miałam takie dreszcze, że pod tym podskakiwałam pod sufit. Była duża gorączka. Dopiero po kilku dniach zabrano mnie do szpitala. Było tam o tyle lepiej, że nie musiałam latać do ubikacji; w baraku leżałam na górnej pryczy i kilka razy w nocy musiałam wychodzić poza barak. W szpitalu byłam kilka dni. Leżało tam w jednej sali pięć czarnych kościotrupów - spalonych od słońca, z odmrożoną w zimie schodzącą skórą. po tej chorobie zostałam zupełną "dochodiagą".

W zimie 49 r. wywieziono nas /65 kobiet/ do szpitala na 38 kilometrów - w kierunku Tajszetu. Podróż odbywała się w potwornych warunkach: mróz minus 50° C, w nie opłakanych towarowych wagonach, bez jedzenia, bez wody do picia. Jechaliśmy 3 doby /mimo, że było to ok. 200km/, bo odstawiano nas często na bocznice na kilka godzin albo na całą noc. Zamiast ubikacji było korytko wychodzące na zewnątrz. Prycz nie było, więc wszystkie siedziałyśmy na podłodze. Tłoczno, ciasno, dochodząc do tego korytka deptało się dosłownie po innych. Korytko na tym mrozie zamarzało bardzo szybko, poprosiłyśmy więc konwojenta, żeby dał nam łom do przebiccia dziury. Zaczęłyśmy walić i korytko nam wypadło - została dziura w podłodze. I wtedy było najgorzej, bo zimno, głód, pragnienie można było znieść, ale nie brak ubikacji. W kącie wagonu stała jakaś beczka, prawdopodobnie na wodę, ale pusta, przykryta jakąś deseczką. Zaproponowałam więc, żeby załatwiać się do tej beczki. Wkrótce jednak beczka była pełna. Zaczęłyśmy walić w drzwi, żeby konwój nam otworzył i pozwolił wylać beczkę. Krzyczałyśmy, prosiłyśmy - nie było żadnej reakcji. A wszystkie byłyśmy bardzo chore. Jedna z dziewczyn postanowi-

ła iść, że zrobiło jej się słabo i że chcemy lekarza. Staliśmy wtedy na boczniczy. Po pewnym czasie przychodzi lekarz. Prędko opowiedziałyśmy mu, że nie mamy pieca, wody, a na dodatek pełną beczkę. Lekarz wysłuchał nas, zbadał tę dziewczynę i kazał dać wody. Nas zatkalo, bo przecież przed chwilą mówiłyśmy mu, że nie mamy wody, a ten swoje: "słyszycie, dajcie mi wody, bo ja muszę dać chorej lekarstwo". Jedna z dziewczyn powtórzyła głośno i twardo: u nas nie ma wody. Ten się zdziwił: "jak to? a w tym na czym siedzę nie ma wody? Aha, To wyście mnie podle dziewczyny na paraszy posadzili" - wtedy dopiero wszystko sobie uświadomił. Był tak wściekły, że powiedział, że nic nie dostaniemy. Ale mimo to, jak wyszedł, to wszystkie na komendę wybuchnęłyśmy śmiechem. Tyle było naszej satysfakcji, że posiedział na paraszy. Lekarz przysłał tylko przez konwojenta krople dla tej dziewczyny, ale nie pozwolono nam tej beczki wylać, ani nie dano wody i jedzenia.

Kobiety są jednak zupełnie inne od mężczyzn. Tym pociągiem jechali również mężczyźni chorzy, również do szpitala. Wśród nich był jeden Japończyk, który nie iść o własnych siłach. Po przyjeździe na miejsce wyładowano nas i kazano iść do obozu odległego od stacji o ok. 150m. Konwój kazał więźniom prowadzić tego Japończyka, ale mężczyźni zaraz zaczęli krzyczeć: on udaje, on może iść, on jest zdrow. A widać było, że jest bardzo chory. Dopiero jak konwojent huknął, to dwóch więźniów zaprowadziło go do obozu. Anim myśmy doszły do łaźni przy szpitalu to ten biedak już nie żył. Wśród kobiet nic podobnego nie mogło mieć miejsca. Jeżeli było coś cięższego do zrobienia - kucie skał czy dźwiganie drzewa - to myśmy wstystkie się za to brały, pomagałyśmy sobie, niezależnie od narodowości czy innych spraw. Jeżeli kosa było ciężko czy niedokładnie, to myśmy same sobie pomagały, bez rozkazu konwojenta.

Mężczyźni np. po przyjeździe do obozu od razu kładli się na prycze i żadna siła nie mogła ich ruszyć. Nawet jak przychodzili po bieliznę do prania, to trzeba było ją z nich sciągać. Natomiast u nas - prałyśmy, szyłyśmy, haftowałyśmy, listy pisałyśmy - jak można.

Mężczyźni wcale nie mieli cięższej pracy niż my, kobiety robiły to

samo co oni - np. przy tych skałach czy potem na Kotymie w cegielni, ponieważ pracę przy skałach uznano za zbyt ciężką dla kobiet.

Czasem przechodziłam obok jakiegoś mężczyzny i litowałam się nad nim - jaki biedny człowiek, stał taki w nowym ubraniu, zmarznięty, z nosa mu kapło... Ale potem pomyślałam: ejże? biedny? A ja? Ja przecież jestem w takiej samej sytuacji, a z nosa mi nie kapło i nie jestem taka niedorajda jak on. Wg mnie mężczyźni byli po prostu leniwi. W wolnym czasie grali w karty, ale dziur sobie nie załatali. Ale z drugiej strony widziałam jeńców japońskich - pracowali przy tym moście - powieszali się i jak pajaki ten most malowali / 112 km /. Japończycy byli ludźmi wykształconymi, prawie każdy z nich miał słończone studia.

W obozie oni niwelowali brzegi, a myśmy wywoziły ziemię. Japończycy byli w starych, połatanych ubraniach, ale nigdy z dziurami, za paskiem wisiak ręczniczek, byli czysti, porządni, schludni.

Wywoziłyśmy ziemię na bardzo wysokich trapach. Ja przeważnie woziłam ziemię do góry, dziewczyny wyrzucały ziemię w górę - do taczki - z rozmachem ze trzy metry do góry. Ale jak o jedną łopatę więcej wrzuciły, to taczka spadała razem ze mną. Takich "skoków" dziennie było z pięć. Trochę się potłukłam, posmiałyśmy się i nic. Ale raz potłukłam się tak porządnie, że odbiłam sobie posładek i zaczął formować się wrzód przy koscie. Bolało bardzo, dostałam gorączki, poszłam do saneczki - tam posmarowali mnie jodyną i już. I nawet nie dali zwolnienia. Chodziła tam jakas pielęgniarka i smarowała mi posładek jodyną w czasie pracy. I jednak - o, cudzie młodości - wrzód się rozszedł.

W szpitalu tam byłam jeden dzień. W czasie badania jedną lekarką powiedziała do drugiej: "zdrowa". Zostałam odwieziona do innego obozu, tzw. "OP" - gdzie było nieco lepsze wyżywienie i nie ganiano nas do pracy. To było dla mnie najistotniejsze. Ale taka sielanka trwała tylko miesiąc. Potem znów nas odwieźli do innego obozu. Na tym etapie znalazłam się znów wśród błatniarek. A ponieważ w wyroku miałam "terror", więc byłam niebezpiecznym przestępcą i wieźli mnie razem z zabójcami. Na ogół mazgajem nie jestem, ale wtedy siedziałam w wagonie i płakałam - po raz pierwszy.

Jechałam w nieznane i to z kim? Wiedziałam, jak to wyglądało: trafiało się do tej samej brygady co one i trudno było żyć wśród tych kobiet.

Przyjeżdżamy do jakiegoś obozu, była niedziela. Dziewczyny z obozu lecały wszystkie zobaczyć, kto przyjechał. Ja patrzę - a są tam moje dziewczyny z "karnej brygady". Okazało się, że po moim wyjeździe z tego obozu odkryto jakąś aferę: ten podły naczelnik i księgowy / wolni / okradli pielęgniarkę - lekarza. Ona była na froncie i miała jakieś trofea z Niemiec i oni jej to ukradli. Miała męża w głównym szpitalu i zaczęła dochodzenie. Oni wszyscy mieli namalowane portiery przez Łotyszka - malarkę i tylko ona mogła rozróżnić, czyje są portiery: czy lekarki czy ich. Pewnego ranka dowiadujemy się, że Łotyszka zmarła. Okazało się, że naczelnik z księgowym ją otruli, jako świadka. Potem między sobą się pożarli i ten obóz karny został rozwiązany. Naczelnik został skazany na 25 lat, a księgowy na 10 lat obozów. I dlatego moje dziewczyny znalazły się w tym obozie, do którego przyjechałam. Okazało się, że znały mnie i pamiętały, nie tylko dziewczyny z mojej brygady, ale wszystkie 500.. I zanim odbyła się rewizja, to dziewczyny przeniosły do obozu moje rzeczy. Jak weszłam do baraku, to już leżały na mojej pryczy - i zostałam w mojej dawnej brygadzie. A wszystkie pięćset urządziły mi takie powitanie, że do dziś pamiętam. A były tam Rosjanki, Ukrainki, Łotyżki, kilka Polek, Litwinki...

W tym obozie była już studnia, więc można było wody brać ile się chce - i napić się, umyć, uprać.

Do Tajszetu wyjechałyśmy na przesyłkę pociągami. Wagony stały bardzo wysoko tak, że 2 żołnierzy wciągało nas do wewnątrz, a potem rzucali jak worki, czasem uderzałyśmy głowami o ściany. W ogóle stosunek konwojentów do więźniów w Tajszecie był okropny. Konwojenci byli Rosjanami, kałmukami, specjalnie źle nastawianymi do nas.

Przyjechałyśmy do Tajszetu z obozów o 200km odległego. Do tego obozu przesyłkowego przywieziono mnóstwo ludzi. I bardzo dużo mężczyzn. Było to w kwietniu 1950 r. Z tego poprzedniego obozu wzięto nas ok. 240, czyli prawie połowę oboza. Tamten obóz został zlikwidowany, a silniejsze i młodsze osoby wywieziono na Kokymę. Tylko myśmy tam jeszcze nie wiedzi

wiedziały, co to jest za zwierz. Po dwóch tygodniach zaczęto formować olbrzymi etap. Mnie też wzięli, chociaż byłam wątła, bardzo szczupła, ale za to młoda. Nas ustawiono na górze, a na ogromnym placu ustawiono mężczyzn. I tak widziałam, jak się z nimi obchodzono. Z nami - źle, a z nimi - to już super-źle. Ciągłe ich przestawiano, formowano piątki, kazano biegać, zupełnie jakby tresowali psy, a może nawet gorzej. I do tej pory mam ten obraz przed oczami.

Potem załadowano nas do wagonów, które dla mnie, po tym co przeszła były wprost cudowne. Były to wagony bydłose, ale podzielone na piętra, gdzie każdy mógł znaleźć miejsce i nawet położyć się. Na górze było okienko, co prawda zakratowane, ale można było przez nie coś zobaczyć. Poprzednio, nawet w wagonach osobowych, było nas tyle, że nie można było wyciągnąć nogi, wychodziliśmy z nogami jak kłody. Był już kwiecień, ciepło, więc nie trzeba było palić.

Dojechalismy na bocznicę do Chabarowska, a był wtedy 1 maja. Z okienek obserwowalismy ludzi odświętnie ubranych. Spotkaliśmy po drodze parę pociągów z młodymi ludźmi jadącymi w tę samą stronę. Byli to poborowi. Potem spotkaliśmy ich już w mundurach.

W końcu przywieziono nas do Buchty Wanino. Był to olbrzymi kompleks baraków, zupełnie jednakowych tak, że raz w nocy zabiłdziłam i nie trafiłam do swojego baraku.

Obiady przynoszono nam w nocy - nie wiem dlaczego. Tylko nadzorcy mieli między sobą ze zdziwieniem - popatrz, one spią, one w nocy spią. Okazało się, że oni byli przyzwyczajeni do innej kategorii ludzi, do bandytek i złodziejek, które szalały po nocach - kradnąc, zabijając itd.

Potem dopiero poznaliśmy je, bo dodali do nas sporo tych bandytek - gibły, kradły co się dało. Było to nie do wytrzymania... Politycznych było nas 1500-1600. I spośród tych wszystkich my - też 240 - jeszcze długi czas się różniłyśmy. One też przyjechały z innych obozów, ale my wyglądałyśmy wyjątkowo fatalnie - kosciołrupy pociągnięta czarna, spalona skóra. Dopiero po pewnym czasie upodobniłyśmy się do innych.

Pewnego razu wyprowadzono nas wszystkie polityczne do poseszku "Uti". Było tam kilka baraczków nad rzeczką, ale odzielili nas od tych ban-

dytek. Przyjęliśmy to z ulgą. Praca ciężkich nie było, tylko te wokół obozu. Tam była przez cały miesiąc spóźniona wiosna, więc z przyjemnością chodziliśmy do lasu po drzewo, bo było tym tak pięknie zielono, w rzece można było przeprać sobie jakies rzeczy i stamtąd też bryliśmy wodę. Jedzenie też było dużo lepsze niż gdzie indziej. Traktowaliśmy to jako obozowy urlop. Taka sielanka trwała 5 miesięcy.

Pewnego dnia zaczęto nas liczyć i szykować do etapu. Załadowano nas na okręt, który nazywał się "Nogin" - rybacki, niewielki statek, strasnie cuchnący rybami. Załadowali nas w poniedziałek wieczorem, a ponieważ matynarze są przesadni, więc wyruszyliśmy dopiero pięć po północy, we wtorek. Zaczęło nas strasznie kołysać, zaczął się sztorm, nawet matynarze chorowali na morską chorobę. Mielismy dużo dobrego jedzenia, ale nikt nie mógł nic jeść. Ja leżałam na pryczy. Przed wyjazdem dostałam paczkę z domu, a w niej witaminę C, która mnie ratowała. Nie leżałam więc na podłodze i nie robiłam kłopotu.

Na statku były piętrowe prycze. Na załatwienie się trzeba było wychodzić na pokład. Raz się zdarzyło, że tę ubikację nam splukało z pokładu, ale na szczęście nikogo tam nie było.

Było nas tam ponad 1600 kobiet - chyba same polityczne. Polek było kilka - Kryśia Zajączkowska, Zosia Neugebauer, Władzia Kiewlak / została na Kołymie, bo wyszła za mąż za Białorusina /, Wanda Zajączkowska.

Podróż trwała tylko 5 dób. W połowie października dotarliśmy do Magadanu do portu Nagajewo. Okazało się, że tym samym statkiem płynął też wacek Kopisto. So mężczyźni płynęło dużo więcej niż nas - w sumie było ok. 4 tys. ludzi.

Przywieźli nas do portu. Mysmy nie mogły chodzić, więc przyjechały po nas samochody i zabrały nas na 4km na przesyłkę. Tam były baraki i jeden duży namiot na ok. 150 osób. Ja trafiłam do tego namiotu. Nie mieliśmy jeszcze zimowego ubrania, więc nas nie wyganiano do pracy, ale jedzenia było mało, a namiot był praktycznie nie opalany. Zima była już blisko. Na noc nas zamykano. Obóz był wynajęty - dla nas - dla Bierka-gu, ale poza naszym obozem był normalny obóz dla mężczyzn kryminalnych ITL. Mężczyźni dowiedzieli się, że są kobiety i starali się przedostać

do tego obozu. Akurat była wczesna zima z zamiecią, którą tutaj trudno sobie wyobrazić. W czasie takiej zamieci strażnik na wyżce też nic nie widział i złodzieje korzystali z takiej pogody, żeby przedostać się do naszego obozu. Do baraku trudno było wejść, ale do namiotu - wystarczyło tylko przeciąć płótno nożem. I przychodziło takich 20-tu, albo i więcej - wiadomo, w jakim celu, a na nas skóra cierpiała. Człowiek udawał szmaty. Ja spałam na górnej pryczy, nikt nie poruszał ani ręką, ani nogą, bo jakby ktoś się poruszył - to on by zaraz tam siedział, z nożem w dodatku. Boże, przypominam sobie ze zgrozą te chwile.

Były także dziewczyny, które zgadzały się na te wizyty - i to nie z strachu. Znajdowały się chętne, przeważnie na dolnych pryczach, Rosjanki / polityczne /. Przypominam sobie, że jedna z moich koleżanek, była chyba ciekawa, i zaczęła się kręcić w czasie takiej wizyty. Uspokajaliśmy ją i kazaliśmy leżeć bez ruchu, a ona nie. Więc jeden z "nich" zaraz usiadł na jej pryczy. Ona zaczęła mówić: Ja nie, ja nie, przez chwilę się tarnosili, aż wreszcie odszedł, bo widocznie nie chciał trać czasu i poszedł dalej szukać chętnych. Nie można było wzywać pomocy, bo oni by nas z zemsty po prostu porżnęli. Przecież im za to groziła kara. Wynosili się więc tą samą drogą. Rano meldowałyśmy o tym władzy i na tym się kończyło.

Był raz taki wypadek w dzień - przy drzwiach do naszego namiotu robił coś jakiś cieśla- więzień z numerem jak my / ja miałam D2-433 /. Miał w ręku siekiere i coś tam ciosał. Przyszło dwóch takich smarkaczy po 15 lat i zachowują się jak trzepoczące ptaki - nie wiedzą, co ze sobą zrobić. Prawdopodobnie coś przegrali w karty. Tam się grało w karty o czyjąś głowę. Jak przegrał - to musiał kogoś zabić albo zabijali jego - takie było prawo w tych obozach bandyckich. Po chwili przyszedł nadzorca, wyjątkowo okrutny, o przydomku "Hula", wielkie chłopisko. Pyta się: mężczyźni u was są? Odpowiadamy, że nie ma. Dziewczyny dały im chustki, gdzieś schowały pod prycze. Nadzorca zajrzał jednak pod prycze wyciągnął chłopaka, złapał siekiere spod cieśli, żeby mu rozwalić głowę. Zaczęłyśmy okropnie wrzeszczeć, więc dał spokój. Wyprowadził go przed namiot. Leżały tam kilofy po jakiejś pracy. I tam, przed namiotem, za-

bił tego chłopaka. Potem pyta: gdzie drugi? Wszystkie nas wezwał na apel i kazał zdejmować chustki, a mężczyźni mieli gołe głowy. Ten drugi chłopak miał chustkę, ale zauważyli gołą głowę i zabrali go. Ustawili nas wszystkich i kazali patrzeć, jak zabijają tego chłopca. Kilku zbójów zaczęło go kopać, deptać, aż zupełnie zbitego wzięli do szpitala, ale następnego dnia zmarł. Zamordowali go, robili to zupełnie na trzeźwo.

Potem, kiedy ci mężczyźni zaczęli już przychodzić za dnia, to ich przerwali gdzie indziej, a nas do obozu męskiego. I ja znowu trafiła do namiotu. W sumie trzy zimy kołyskie spędziłam w namiocie. Okrywałymy się tym, co miałyśmy na sobie: watowane spodnie, tielogrejka i buszlat. Niektóre miały jakies koce. I to wszystko na siebie nakładaliśmy jakos przytulałyśmy się do siebie, ogrzewając się nawzajem. Kiedyś purga zniosła dach z namiotu i śnieg na nas sypał. Podłogi były drewniane w czasie zamieci nie wolno było palić w piecach, a w ogóle to nie było czym, czasami po cztery doby w czasie tych zamieci nie dostawałyśmy ni do jedzenia i nawet nie miałyśmy do nich o to pretensji, bo ani nie można było ognia zapalić ani nic dowieźć.

I myśmy tak głodne, zziębnięte leżałyśmy i czekałyśmy, aż zamieć się skończy. Nasz namiot był usytuowany tak, że wyjście było na zachód, a sąsiedni na przeciwko - na wschód. Wiatry wiały od wschodu tak, że wejście do naszego namiotu było zawałone metrami szesciennymi śniegu, za nic w świecie więc nie mogłyśmy stamtąd same wyjść. Chodziła cała dygada z tamtego obozu namiotu i odkopywała nas.

W obozie na 4-ym kilometrze było kulka baraków, a w nich po 150 ludzi. Kobiet było dużo mniej niż mężczyzn. W jednym obozie więźniów było od 1500 do 5 tys.. Na 18-ym km było więcej kobiet - do 3 tysięcy, same polityczne, oprócz pojedynczych kryminalistek, które dostawały karę za ucieczkę z obozów.

Spotykałam tam też starsze kobiety, w wieku mojej mamy, nawet Polki np. p. Ania Olszewska z Wilna. Ja byłam jedną z najmłodszych. Dopiero potem, w 53 r. z następnego transportu pojawiły się młodsze.

W obozie przesyłkowym na 4-ym km przeżyłam najgorszą zimę. Potem i mnie zabrano do obozu na 6-ym km, gdzie byłam też w namiocie. Tam chodziliśmy do pracy budowlanej - budowało się magazyny z kamienia. Tam byli dużo lepsi konwojenci / zwłaszcza w porównaniu do Tajszetu /. Władza - jak wszędzie. Pobudka była o piątej rano, potem szybko, szybko śniadanie, rewizja osobista i apel. W rezultacie stało się pod wrotami obozu dwie godziny czekając, aż nas wyprowadzą do pracy. Ja zawsze się buntowałam - po co ja mam tu stać na mrozie? Przy rewizji było 5 bab - - wolnych Rosjank - które nas obmacywały, czy przede wszystkim nie nosimy jakiegos listu... A list można było pisać dwa razy na rok, po rosyjsku, o określonej treści. Zazwyczaj nigdy te listy nie dochodziły do adresata, więc próbowałyśmy wysyłać nieoficjalną drogą. Tak że przy rewizji szukano tych listów, pieniędzy / które czasem przysyłano nam z domu /, jakichs innych rzeczy, nie wiem, jakich.

Raz ja i kilka innych dziewcząt postanowiłyśmy zostać w baraku i dołączyć do kolumny, jak zaczęła wyruszać. Pewnego razu przyjechał nowy zastępca naczelnika obozu - major Kozłowski - i on pilniwał, żeby wszyscy byli w kolumnie, a my nie - biegamy wokół namiotu, żeby nie zmarznąć i ukryć się przed nim i jakoś dostać do kolumny. Wreszcie krzyknął: "Długo ja będę bawił się z wami w chowanego?" W końcu zdecydowałyśmy się wyjść z namiotu i dołączyć do kolumny. W tym momencie patrzę - złapał jedną dziewczynę, szturchnął, rzucił na ziemię. Zdecydowałam się wyjść i nawet się bić. Wezwał "nariadczycę" / najwyższa funkcja w obozie /, żeby zapisała nasze nazwiska. Ja podeszłam, postąpiłam i nic nie powiedziałam - odeszłam. W ten sposób nie zapisała mojego nazwiska. Była zupełnie dezorientowana - i nie spytała mnie. Po powrocie z pracy wywołują te zapisane do pracy w obozie / jako karę / do północy. W sumie i tak nigdy nie wiedziałyśmy ile pracujemy, ale po pracy poza obozem byłyśmy już bardzo zmęczone. Mnie nie wywołali, więc nie poszłam. Ukraińki zaczęły mnie wypytywać, co ja zrobiłam, że nie chodzę do tej północy. Opowiedziałam im, co się stało i uwierzyły.

W namiotach paliło się w beczkach, od których rura wystawała na zewnątrz. Jak się przestawało palić, to od razu robiło się zimno. Ściany

namictu z zewnątrz obsypywałymy śniegiem, tak było ciepłej. Ale najgorsze były sufity-dachy. Jak się zaczęło palić, to lód z sufitu topniał i wszystko leciało na te nasze dwie deski. To była prawdziwa rozpacz. Człowiek strasznie zmęczony nie miał nawet miejsca, żeby się położyć, bo wszędzie leciało mu na głowę. Stawialiśmy słoiki, miednice, ale i tak nic nie pomagało. A w nocy robiło się zimno i człowiek przy marzał do ściany. Podłoga mokra, siiska, brudna.

Ludzie często chorowali. Ja też - prawie comiesiąc miałam zwolnienie tzn. chorowałam z gorączką.

Jesli chodzi o stan psychiczny, to staliśmy się tam automatami. Nie miałyśmy nadziei, że kiedykolwiek stamtąd wyjedziemy. Kiedyś dostałam wiadomość o śmierci mojego ukochanego dziadka. Wówczas okropnie się zlamalam. Płakałam, chodziłam, jak struta. Dziewczyny - i Ukrainki i Polki usiłowały mnie pocieszyć, mówiąc: nie płacz, to był już stary człowiek. Ita pociecha najbardziej mnie denerwowała. Co to znaczy "stary człowiek"? Człowiek kochany nie ma wieku, zawsze jest kochany. Ale czas leczy rany. Jednak nie do końca. Kiedyś, chyba w lutym 53 r. płakałam wieczorem i mówiłam: "Dziadziusiu kochany, i ty nam nie powieś co się tu z nami stanie, ty chyba wszystko wiesz". I tej nocy snił mi się dziadzius, że jestem z nim w sadzie, który tak kochał, pełno pszczoł, kwitnie sliwa i dziadzius mówi do mnie - on umrze. Nie powiedziano kto, ale ja wiedziałam, że chodzi o jakąś osobistość, od której zależał nasz los. I dodał: wówczas wam będzie lepiej.

A 5 marca już umarł Stalin. A poza tym to nie było życie, to była marna wegetacja. Jakichś wielkich załamów psychicznych nie było, bo dziewczyny były tak zmęczone fizycznie, że nie miały już siły na nie. Psychiczne załamanie miałam w obozie karnym w Tajszećie - tam się chciałam rzucić pod pociąg. Raz chciałam wyjść za zonę, bo te muchy tak mnie pogryzły. Nie wiedziałam jeszcze wtedy, że trzeba było chodzić w spodniach i byłam tak pogryziona, że zupełnie się załamałam. Ale moje dziewczyny, Ukrainki, postawiły jedną najmłodszą, żeby mi nie pozwoliła za tę zonę wyjść. I ona mnie dopilnowała.

A jak chciałam rzucić się pod pociąg to cos mnie jednak powstrzyma-

to, co nie pozwoliło tego zrobić.

Na Kołymie już tego rodzaju załamania nie było. - wydawało się, że tu jest lżej, mimo, że mieliśmy numery i ostry reżim. Czasem jednak były kary za błahe przewinienia. Np. w jednych obozach trzeba było sobie malować biały numer na czarnym tle, a w innych - odwrotnie. Kiedyś, przy przechodzeniu z jednego obozu do drugiego nie zdążyłam sobie zmienić tych numerów i wsadzili mnie za to do karceru. Był to barak z celami oddzielony od innych baraków w obozie drutami. W celi stało żelazne łóżko niczym nie pościelone. Raz dziennie dawano 300 g chleba i porcję zupy. Chodziłam stamtąd do pracy i dziewczyny podrzucały mi trochę jedzenia. Strażnik pilnujący karceru uważał, że ja siedzę za przerzucanie różnych rzeczy do obozu męskiego /myśmy rzeczywiście do męskiego obozu przerzucały przez płot chleb, chusteczki, jakieś prezenty na Święta - często do nieznanym Polaków/ i wyjaśniłam za co siedzę, a on z kolegą w ramach swoistego żartu założył mi kajdanki /"za tak ciężkie przewinienie"/. Pośmieli się trochę i kajdanki zdjęli. Wypuszczono mnie już po dwóch dniach.

W obozie przesyłkowym w Magadanie odwiedziłam Krysię Zajączkowską. W jej baraku były bardzo wysokie prycze z których można było oglądać świetlicę. W czasie tej wizyty odbywał się w świetlicy koncert noworoczny. Podglądając go z pryczy usłyszałam piosenkę: "Dorogije Kołymczanie, moi zienliaki..." Od tego momentu nadzieja na powrót we mnie zgasła, bo piosenkę zrozumiełam jako potwierdzenie, że traktują nas wszystkich jako "ziemlaków" w związku z czym nigdy stąd nie wyjedziemy.

Ja byłam zawsze bardzo buntowniczą naturą. W obozach nie modliłam się. Nie dlatego, że odrzucałam Pana Boga, religię. Ale nie chciałam nikogo o nic prosić. Np. po sądzie można było składać prośbę o ulaskawienie, ale ja to odrzucałam, bo nie mogłam I C H o nic prosić. Nawet pisząc do domu - bardzo rzadko pisałam, że coś mi trzeba. Nie pisałam też do swoich znajomych, bo myślałam, że może się mnie wyrzekli, że może im zaszkodzić taka korespondencja. I dlatego też Pana Boga nie prosiłam o nic. Wierzyłam..... Wspominałam sobie nieraz

lata młodości, nabożeństwa, ale nie modliłam się. Wiara mi nie pomagała. Dla mnie najwyższą wartością była Ojczyzna. Wiedziałam, że muszę się tak zachowywać, żeby imienia mojej ojczyzny nie splamić. Chodziło o sposób zachowania się - na codzień. Np. dziewczyny tłoczyły się przyrozdawaniu chleba czy zupy - ja nigdy nie przepychałam się, ~~nie~~ Miałam świadomość, że według tego jak zachowują się Polki - inni będą odpowiednio traktować Polskę. Dotyczyło to także wiązania się z mężczyznami. Nietrudno było o to. Według mnie w tych związkach był tylko seks, a nie uczucie. Ale może to była tęsknota za uczuciem?... Ja nawet przeżywałam coś takiego. ~~Z~~ wzajemnością Ale nigdy z tym człowiekiem nie zamieniłam nawet dwóch słów. Były tylko spojrzenia. Trudne to było.

Nie chodziłam również po śmietnikach. Byłam tak samo głodna jak wszystkie, ale nie chodziłam. ~~Ja~~ innych za to nie potępiam, ale ja nie mogłam się na to zdobyć, żeby szukać tych rybich główek w śmietnikach.

Za pracę "niegodną" uważałam donosicielstwo albo starania i pracę o eksponowane stanowisko wzamian za różne tego typu rzeczy. Był taki wypadek: jedna z moich znajomych /Halina/ miała jakiegoś sąsiada z kraju - w męskim obozie. Oszczędziła swoją pajkę chleba, żeby ofiarować chleb temu znajomemu. Przekazała pajkę przez innego Polaka. I ten chleba nie doniósł - zjadł po drodze. Dla mnie to było nie do pojęcia. Ja go rozumiem, on był głodny, ale ja bym tego nie zrobiła. Miałam za sobą wychowanie harcerskie.

W 1953r. - jak zmarł Stalin - byłam na "6-tym kilometrze". W międzyczasie wożono nas do różnych prac przejściowych, m.in. do бухty /zatoeki/ "Wesoła".

Po śmierci Stalina przewieziono mnie na 18-ty kilometr. Było już tam lepiej, mniejszy reżim. Korespondencja była ożywiona, można było czytać i pisać w nocy /całą noc paliło się w barakach światło/. Poza tym robiłam różne robótki, haftowałam - przeważnie za chleb, ale i trochę dla siebie, żeby się lepiej czuć.

Wszyscy moi znajomi ze sprawy zostali w Tajszece, więc korespondencję prowadziłam z rodakami, którzy byli na Kołymie. Pisaliśmy na jakimś zdobytym różnymi sposobami papierze, ołówkami. Poczta obozowa funkcjonowała idealnie - w przeciwieństwie do oficjalnej. Trafiały listy nawet bez nazwiska, np. adresowane: "Do Wandy-Polski"

W obozie była już biblioteka, książki rosyjskie, ale ja znałam rosyjski, więc dużo czytałam. Czytałam w nocy i w czasie tego 2-godzinnego "rozvodu". Zamiast stać i marznąć - siedziałam w baraku i czytałam. Wychodziłam, jak brygada miała wyjść do pracy. Ale kiedyś spóźniłam się i brygada była już za bramą. Poszłam na wachtę i mówię, że weszłam do baraku po tlełogrięjkę, a tymczasem wszyscy wyszli. Strażnicy dyskutowali, ale w końcu jeden powiedział, że mnie doprowadzi do brygady. W tym czasie zjawiała się jakaś "nariadczycza" i zaczęła wykrzykiwać: "posadzić ją, posadzić, do karceru". A żołnierze na to: "za co ją posadzić? Rzecz się ona wyszła do pracy?" - i szybko zabrali mnie do brygady. I tak żołnierze wstawili się za mną.

To było bardzo ważne - ta zmiana stosunku żołnierzy do nas. Z czasem zaczęli nas prosić, żebyśmy im coś przyszyły, iprały, a niektórzy przynosili nawet listy nieoficjalną pocztą.

W 1954r. postanowiłyśmy urządzić sobie Wielkanoc i nawet kupiłyśmy dwa ~~zajka~~ jajka. Jedno posłałyśmy mężczyznom, a drugie było u nas - pomalowane akrichiną na żółto. W sklepiku sprzedawali biszkopty - zrobiliśmy z nich tort. Ugotowałyśmy też makaron, który trzeba było przemycić spoza zony. Niesiemy ten makaron, a tu nagle pięć kobiet /strażniczek/ zaczyna nas rewidować. Ukradkiem podałyśmy makaron konwojentowi i ten po rewizji oddał nam torebkę. Konwojenci to byli młodzi żołnierze w służbie czynnej. Wśród nich, pod koniec mojego pobytu na Kołymie, spotkało się nawet Polaków /jeden był spod Grodna/.

W obozie na 18-tym kilometrze pracowałyśmy w cegielni - na 3 zmiany - po 8 godzin. Była to bardzo ciężka praca. Potem okazało się, że nie wolno zatrudniać przy niej kobiet, ale myśmy już wtedy po parę lat tam pracowały: i przy wypalaniu cegieł w piecach

i przy formowaniu cegieł i wozni. W piecach cały czas unosił się pył i sadze. Kapiel była obowiązkowa - codziennie, chustka na głowę po miesiącu rozsypywała się na drobny mak. Można sobie wyobrazić co działo się z naszymi płucami. Były tam 32 piece, każdy mieścił 5 tysięcy cegieł. Ja zalepiałam piece po wypełnieniu ich cegłami - to była jedna z złejszych prac. Ale inne kobiety musiały załadowywać i wyładowywać piece, wozić cegły taczkami. W piecach temperatura dochodziła do 1200° C. Podgrzewanie elektrycznie i węglem. Cegielnia była w Marczykanie - doprowadzano nas tam z obozu.

Przy lepieniu tych pieców pracowała ze mną jedna Polka - polecona przeze mnie brygadziście. Potem zaczęło brakować gliny i zmniejszono ilość "zalepiaczy" i jedną zmianę. Moja koleżanka wolała zapewne zostać tutaj niż iść do gorszej pracy. Dziewczyny prosiły mnie o zorganizowanie Świąt Wielkanocnych. Nie mogłam odmówić, chociaż kosztowało mnie to trzy noce nieprzespane, bo np. makaron trzeba było gotować 9 razy /mało naczyń i słabo palące się piece/. W obozie było ok. 18 Polek. Zrobiliśmy Wielkanoc w naszym baraku /była Irka Krajewska, Małcia Duś, Włocława Batorska, Halina Pilawa/. Po tych Świętach byłam okropnie zmęczona i w pracy ledwo trzymałam się na nogach. Poprosiłam Marysię, żeby mnie zastąpiła, i poszłam przespać się trochę ~~przygotowanym~~ w czystym, przygotowanym do nalaśowania piecu. A ona zawołała mistrza, zaprowadziła go do tego pieca i pokazała mi śpiącą. Mistrz nie miał wyjścia i zwolnił mnie z tej pracy - a ona została. Wkrótce potem trafiłam na jakąś awanturę między dziewczynami. Nadzia Kisielewska opowiedziała mi, że Ukrainki napadły na tę Marysię, że mnie wydała, że wydała swoją rodaczkę. Ja nawet nie żałowałam tak bardzo tamtej pracy, tylko strasznie mi było przykro, że coś takiego zrobiła Polka.

Przydzielono mi potem do ładowania cegły. Była to dużo cięższa praca - schylanie się i ładowanie z ziemi do samochodów: każda z nas musiała podnieść 16 ton cegły dziennie. Pracowałyśmy przy tym w okularach motocyklowych, inaczej nie można było, gdyż pył wciskał się do oczu,

Po pewnym czasie zabrali mnie do kopania rowów. Była to niebezpieczna praca, bo często świany rowów obrywały się i zasypywały ludzi. W tej brygadzie była wyjątkowo niesympatyczna Litwinka, źle nastawiona do Polaków. W obozach spotykałam sporo Litwinek, z jedną z nich spałam w namiocie - ta była bardzo miła, wesoła, ciągle jakieś psikusy 'niewinne' komuś robiła. Z inną Litwinką - nauczycielką, bardzo inteligentną, też bardzo miło ułożyły mi się stosunki. Jak miała być zwolniona z obozu, prosiła, żebym jej z waciaka zrobiła kurtkę /potrafiliśmy z okropnych obozowych waciaków przerabiać na "eleganckie" kurtki/.- chciała po wyjściu z obozu wyglądać po ludzku. Pracowałyśmy wówczas w sowchozie przy sianokosach i tam w barakach nie było światła. Musiałam więc szyć tę kurtkę przy piecu - żeby coś widzieć. Dziewczyny gotowały sobie ziemniaki na tym piecu. Jakaś Ukrainka niezręcznym ruchem zrzuciła garnek z wrzącą wodą prosto na moje nogi. Bolało bardzo, ale odeszłam, szybko zdjęłam pończochy i zaczęłam sobie czymś smarować. Tymczasem dziewczyny okropnie napadły na tę Ukrainkę, że była tak nieuwważna i kazały mnie przeprosić. Ona się broniła, ale jak zobaczyła pęcherze na moich nogach, to zaczęła przeproszać. Litwince było przykro, że to się stało pośrednio przez nią /przez tę kurtkę/, ale ja się roześmiałam i powiedziałam, że dzięki temu wypadkowi odstanę wreszcie zwolnienie lekarskie i wtedy napewno jej tę kurtkę uszyję. Do dziś mam adres tej dziewczyny, ale po powrocie do Polski bałam się nawiązać z nią kontakt.

W lecie, po kopaniu rowów wozili nas na isanokosy, m.in. w okolice Tałonu. Wychałyśmy tam niedużym statkiem, a raz - w zimie przewieźli nas do Tałonu samolotem - już na stałe - czyli do końca mego pobytu w obozie - do lipca 56 roku.

Zwolniono mnie na podstawie orzeczenia specjalnej komisji, która przyjechała z Moskwy i sądziła nas po raz drugi. Oni mieli wszystkie nasze dokumenty, sprawdzeli różne rzeczy, pytali. Nie wiem ~~in~~ czyjego zalecenia ~~XXXXXX~~ przyjeżdżały te komisje, ale w 56 r. wszystkim politycznym

rewidowali wyroki. Wtedy u władzy był Malenkov.

Mnie już i tak tylko pół roku zostało do końca wyroku, gdyż ktoś z naszej sądzonej grupy napisał pismo z prośbą o rewizję /ponowne rozpatrzenie sprawy/ i całej grupie zmniejszono wyroki do 10 lat. A ponieważ ja siedziałam już 8,5 roku, miałam jeden rok "zacziotów", więc dla mnie niewielka była łaska - to wcześniejsze zwolnienie.

Dali nam zaświadczenia /tzw. sprawki/ i z nimi pojechaliśmy do Magadanu. Tam dano nam kwaterę w opuszczonym obozie, skąd wypuszczono nas dopiero po wyrobieniu paszportów.

Zwolniono wówczas ok. 100 kobiet /był to ostatni zlikwidowany obóz kobiecy dla politycznych/. Ten ostatni proces miał charakter tzw. zamazania sprawy, a wyrok brzmiał: niecelowe dalsze przebywanie w obozie. Dzięki temu nie miałyśmy zsyłki, jak więźniowie wcześniej zwolnieni. Byłyśmy więc w pełni wolne.

W Magadanie byłam ok. 2 tygodni. Dali nam dokumenty, bilety na statek i pieniądze /niewiele/. Płynęliśmy statkiem "Bałchasz" do Nachodki, a stamtąd koleją - przez Moskwę ^{dojechałam} - do stacji Mosty. Mieszkał tam ojczym z mamą, która wróciła 4 miesiące przede mną z zesłania w Krasnojarskim Kraju. Mama była tam 8 lat. Miała zerwane ścięgna w nogach, nie mogła pracować fizycznie, więc zarabiała różnymi robótkami: umiała pięknie haftować, robić papierowe kwiaty itp.

Po zwolnieniu z obozu wysłałam telegram do domu zawiadamiający o moim powrocie, ale jak przyjechałam, to mnie mama nie poznała - tak się zmieniłam.

W Mostach byliśmy niedługo. Złożyliśmy dokumenty o wyjazd do Polski.. Okrzyem też był prześladowany, przesłuchiwany. W czasie jednego z ostatnich wezwań na NKWD do Grodna śledczy mu poradził, żebyśmy wszyscy wyjechali do Polski. A mnie - jeszcze w czasie tych ostatnich przesłuchań na Kołymie jeden ze śledczych powiedział: "właściwie jedyną waszą winą było to, że nie wyjechaliście do Polski".

Do Polski wyjechaliśmy w końcu stycznia 1957 r. Po powrocie do kraju nie byliśmy represjonowani. Ławsze podawaliśmy w życiorysie

całą prawdę. Nie miałam trudności z otrzymaniem pracy, bo nasz zakład /farmaceutów/ był deficytowy. Po powrocie skończyłam Technikum Farmaceutyczne w Warszawie. Na studia nie mogłam sobie pozwolić, nie tyle ze względów materialnych, co psychicznych. Pobyt w obozach zupełnie człowieka wyjałowił intelektualnie, a w dodatku ja miałam te zaniki pamięci. Zawsze marzyłam o studiach, ale to nie było możliwe, Rodzice dostali mieszkanie i pracę w Raciążu.

Miejscowi mówili na nas "ruskie", co mnie doprowadzało do pasji. Myśmy mówili śpiewnym akcentem, ale po polsku. Z czasem jakoś się ułożyło. Kościół odegrał tu bardzo pozytywną rolę. Poza tym solidnie pracowaliśmy i mieszkańcy Raciąża dotychczas nas za to cenią. i darzą zaufaniem.

Nie czuję nienawiści do ludzi, ani żalu czy goryczy za tamte lata. Nawet - za straconą młodość. Nie chcę i nigdy nie chciałam na nikim mścić się. Mam określony stosunek do tego systemu, ale nie do poszczególnych ludzi - oni może nawet nie wiedzieli co robią. Według mnie Rosjanie są lepsi od Niemców. Ja Niemcom nie wierzę, a Rosjan lubię.

Raciąż, listopad 1989r.

Magrywała:

Małgorzata Giżejewska

Być Polką - to znaczy...
Nie przywieść wstydu swojej Ojczyźnie
(Patriotyzm - to nie pustki słowa)

IRENA OLIZAR

/tekst relacji nagranej w 1989 roku w Raciażu
przez M.Giżejewską/

Urodziłam się 23 sierpnia 1926 roku w małym miasteczku - Łunna nad Niemnem w pobliżu Grodna. Dziadkowie mieli mały własny domek z ogródkiem. Mieszkałam tam z mamą. Mama moja była niezamożna ale bardzo ładna. Wyszła za mąż za Polaka, który przyjechał ze Stanów Zjednoczonych. Małżeństwo to jednak trwało krótko - mój ojciec wyjechał do Stanów zaledwie parę tygodni po ślubie i potem bardzo mało mamie pomagał. Tak więc mieszkaliśmy we dwie z mamą u dziadków. Dla mnie najukochańszy był dziadek. Gdy byłam mała to na pytanie, kto jest dla ciebie najlepszy, odpowiadałam dyplomatycznie: "Jak nie ma dziadka, to i babcia dobra. A gdy nie ma babci - to i mama dobra". Ogród i kwitnący sad do dzisiaj wspominam - takie były piękne. Dziaduszek zajmował się pszczołami i ogrodnictwem.

Do szkoły chodziłam w Łunnie. Wkrótce, potem, po śmierci ojca, który zginął w wypadku, mama wyszła po raz drugi za mąż i wyjechała do Swisłoczy^k/Wołkowyska małego, zabytkowego miasteczka, dawnej posiadłości Tyszkiewiczów. W ich pałacu mieściło się wówczas gimnazjum koedukacyjne im. Traugutta. Chodziłam tam do szkoły i był to chyba najprzyjemniejszy okres w moim dzieciństwie, bo szkoła mnie całkowicie pochłaniała. Nauczyciele wychowywali nas bardzo patriotycznie, a ja do wszystkiego się włączałam. Najpierw - do zuchów, mimo że mama nie bardzo się na to zgadzała. Pamiętam przyrzeczenie zuchów, na którym wręczano gwiazdki. Ja niedawno przyjechałam i nie miałam jeszcze mundurka. Ale nauczycielka była mądra i wyrozumiała, pozwoliła mi przyjść w czarnym fartuchu. Dostałam gwiazdkę - i mama skapitulowała. Potem należałam oczywiście do harcerstwa. Mając 13 lat byłam już zastępową - jedyną w tym wieku. Dobrze się uczyłam - przez całą szkołę powszechną nie miałam żadnej trójki. Przez pewien czas byłam prymuską w szkole /nie w klasie/.

W 1939 roku na wiosnę zdawałam do gimnazjum - było to bardzo duże przeżycie. Zdałam jednak bardzo dobrze. W maju miałyśmy przyrzeczenie - dostałam krzyż harcerski, ale legitymacji nie zdążyli nam wręczyć - wybuchła wojna. Na wakacje pojechaliśmy z przyrodnim bratem do babci do Łunny. Tam przeżyliśmy początek wojny. Był to piątek. Widziałam lecące samoloty - najpierw z biało-czerwoną kratą, potem ze swastyką. Było to straszne, ale cały czas nie wierzyłam, by Polska mogła przegrać w tej wojnie. Do Świsłoczy nie można już było potem normalnie dojechać. Przyjechał ojczym i z nim wracaliśmy do domu różnymi środkami lokomocji. Po drodze trzeba było wysiadać i chować się w rowach, bo samoloty niemieckie ostrzeliwały wsie i pola. W Świsłoczy rok szkolny zaczął się dopiero 9 września. Ale krótko była to polska szkoła. Pamiętam, jak czekaliśmy na wejście Niemców. Ojczym z synem uciekli na wschód, a ja zostałam z mamą. Pewnego dnia poszliśmy do magistratu i tam spotkałyśmy ułana - pięknego mężczyznę, ale śmiertelnie zmęczonego po potyczce z Niemcami. Zabili mu konia, on wziął siodło i przyszedł do Świsłoczy prosić o kwaterę. Jak to usłyszałam, zaczęłam nalegać, żebyśmy wzięły do siebie tego ułana. Wyperswadowano mi to jednak tłumacząc, że od naszego domu trudniej by mu było uciec jak przyjdą Niemcy. Tego dnia kładłam się spać ze świadomością, że jutro przyjdą do nas Niemcy i że Polska traci niepodległość. Było to dla mnie straszne przeżycie, do dzisiaj potrafię się w nie wczuć. Po paru dniach wrócił ojczym z synem, ponieważ dowiedzieli się przez radio, że Rosja wkracza na nasze tereny. Po 17 września odkryłam, że ludzie, o których zupełnie inaczej dotąd myślałam, chodzą w czerwonych opaskach - okazali się komunistami. Byli wśród nich nasi znajomi - do tej pory bardzo przyjacielscy, m.in. Rosjanin, który podszedł do nas i z radością oznajmił mamie, że idą bolszewicy. Byłam wściekła na niego. Nie chodziło mi jednak konkretnie o bolszewików, tylko o tych, którzy zdradziecko zaatakowali nasz kraj. Wychowywano nas patriotycznie, ale bez szowinizmu, nie nastawiano przeciwko komuś, zwłaszcza sąsiadom.

18 września przyszli bolszewicy. Przed nimi przez Swisłocz przejechali żołnierze z III-go pułku strzelców konnych z Wołkowyska. Wracali z frontu do swoich koszar, ale okazało się, że koszary zostały już rozgrabione przez miejscową ludność niepolską. Uciekli więc na południe. Zaraz po ich odejściu Białorusini i Żydzi z czerwonymi opaskami witali sowiecki czołg. Pamiętam kiosk z gazetami, który prowadził inwalida - bez nóg. On to wdrapał się na kiosk i własnoręcznie zawiesił na nim czerwoną flagę. Czołg gonił ten oddział strzelców i dogonił ich jeszcze w Swisłoczy. Widziałam, jak kłapa czołgu się otwiera i jakiś żołnierz wychyla się i mówi po polsku: "Panowie, poddajcie się". A oficer do swoich żołnierzy: "Na koń!". Żołnierze zaczęli uciekać ulicą Kraszewskiego, na końcu której był nieczynny wówczas kościółek unicki. Za tym kościółkiem Rosjanie ich dogonili i pobili. Było kilku rannych - zanosila im potem jedzenie do szpitala.

W szkole do Bożego Narodzenia byli jeszcze nasi nauczyciele. Natomiast w II-gim półroczu przyszli nauczyciele rosyjscy nie znający zupełnie języka polskiego - nic nie rozumieli. Więc my z konieczności musieliśmy się uczyć rosyjskiego. I już poziom nauki był nie ten i chęć do niej nie ta. Miałam już wówczas trójki. Nie dlatego, że nie potrafiłam opanować materiału, ale nie chciałam się tego uczyć. Tak trwało do 22 czerwca 1941 roku, kiedy tym razem Niemcy napadli i Rosjanie uciekali w popłochu, często nawet w bieliźnie. Przedtem były wywozy - wiele rodzin wywieziono do Rosji, wśród nich nasze koleżanki i kolegów szkolnych z rodzicami.

Wywożenia zaczęły się już w lutym 1940 roku, a zima była wówczas bardzo sroga, dużo śniegu, do 25°C mrozu.

Upatrzonym uprzednio ofiarom NKWD dawało 1-2 godzin czasu na spakowanie rzeczy, odbywało się to zawsze w nocy.

Następnie całą rodzinę wraz z dziećmi i starcami oraz zebrany w popłochu ręcznym bagażem ładowano pod konwojem do bydłych nieopalaných wagonów.

Dorosłych mężczyzn aresztowywano i odprawiano do łagrów, a ich rodziny w zaplombowanych wagonach w głąb Rosji,

najczęściej do Kazachstanu. Dzieci i ludzie starzy często zamierzali w tych strasznych warunkach lub z innych powodów nie wytrzymywali "luksusu" tej podróży. Wówczas ich trupy wyrzucano bez żenady do tajgi na pożarcie wilków.

Następna fala wywozów nastąpiła w kwietniu 1940 roku według znanego już scenariusza.

My też byliśmy na liście, wyznaczono nasz transport na piątek w czerwcu - tuż po wybuchu wojny. W ogóle od początku wojny spaliśmy stale w ubraniach czekając na te wywozy. Z naszego mieszkania wyrzuciło nas NKWD już w 1939 roku i mieszkaliśmy uznajomych.

W czerwcu 1941 roku siedzieliśmy w piwnicy chroniąc się przed niemieckimi nalotami i ostrzałem artylerii. Wojska rosyjskie nie chciały zabierać "swoich", czyli rodzin rosyjskich, które błagały, żeby ich oficerowie zabrali przed Niemcami.

Pamiętam te płaczące kobiety z dziećmi, niektórym udało się dostać na wojskowe ciężarówki... Pamiętam, że dziecko jednej z kobiet nie chciało za żadne skarby wejść na ciężarówkę i zostało z matką. Potem okazało się, że tę ciężarówkę kilka kilometrów za miastem zbombardowano i wszyscy zginęli ... dziecko widocznie to czuło.

Artyleria niemiecka bombardowała Swisłocz przez 10 godzin, wieczorem Niemcy miasto zajęli. Myśleliśmy, że tej nocy będzie można normalnie się przespać. Rozebraliśmy się i poszliśmy spać. Tymczasem nad ranem obudził nas jakiś straszny huk. Zerwałam się, patrząc i wokół unosi się chmura pyłu, a tu z pokoju widać niebo. Okazało się, że Niemcy zbombardowali dom naszego gospodarza. Pył, huk, strach. Byliśmy rozebrani, więc chwyciłam mamy jesionkę /a był wówczas upał/ i wszyscy zeszliśmy do piwnicy gospodarza, bo do naszej już nie zdążyliśmy /była dalej/. Pełno było szkła, pokrwawiliśmy sobie nogi. W tym czasie ojczym wyszedł i rozmawiał ze swoim pracownikiem z apteki, dzielił ich tylko płot. W pewnej chwili tamten padł zabity, a ojciec został ... cały. Zaraz potem bomba uderzyła za dom i odłamek uderzył w naszą piwnicę -

tę, do której nie zdążyliśmy dojść, a w której schronił się gospodarz z narzeczoną. Dziewczyna została zabita

W domu zaczął się pożar. Ojczym z synem powyrzucali z domu pościel i trochę rzeczy do leja po bombie i tylko tyle nam zostało, bo wszystko zaraz spłonęło. Uciekliśmy przez zgliszcza i dymy do gospodarstwa znajomych - pp. Szaciłowskich. Ja byłam tylko w koszuli i jesionce, ale moja koleżanka, która ubrała się w dwie sukienki w trakcie ucieczki - dała mi jedną. Wieczorem Niemcy zaczęli ustawiać armaty tuż pod oknami, w krzakach bzu. Całą noc trwała kanonada. Siedzieliśmy w piwnicy, nic nam się nie stało, ale strachu było sporo. Następnego dnia przyszła olbrzymia burza - grzmoty, ulewa, ale tego już słuchałam z przyjemnością i od tego czasu nie boję się burzy.

Niemcy zostali na tamtych terenach do 1944 roku. My jednak długo nie mieszkaliśmy w Swisłoczy - na szczęście, bo Niemcy bardzo wielu Polaków rozstrzelali z namowy Komitetu Białoruskiego /była to organizacja proniemiecka i bardzo antypolska/. Przed wojną nie odczuwało się antagonizmów narodowościowych, zwłaszcza z Białorusinami; chodzili z nami do szkoły, byli w naszym harcerstwie. A potem donosili niektórzy na swoich kolegów, wtrącali ich do sowieckich więzień.

Po tym nalocie i zniszczeniu domu ludzie przynosili nam różne rzeczy w prezencie, bo przecież nic nie mieliśmy prócz pościeli. W końcu ojciec zdecydował, że pojedziemy do Łunny, gdzie mieszkali rodzice jego i mamy. Do Wołkowyska dojechaliśmy koleją, potem 22 km pieszo i wreszcie jakąś furmanką. Okazało się, że rodziców ojca bolszewicy wywieźli razem z resztą rodziny. Po paru tygodniach staruszkowie wrócili spod Lidy - transport ludzi Niemcy zbombardowali, a bolszewicy uciekli.

W czasie okupacji niemieckiej przyjeżdżali różni ludzie z kraju, wielu łączników z AK. Zaczęła się organizacja lokalnych oddziałów AK. Każdy szanujący się Polak musiał do nich należeć. Ja oczywiście też - jako harcerka. Początkowo nosiliśmy opatrunki dla rannych żołnierzy. Niemcy zabraniali sprzedaży w aptece opatrunków i leków

dezynfekujących. Każdego, kto je kupował należało zameldować w żandarmerii.

Dookoła Łunny była partyzantka polska, sowiecka również. Granica Ostpreissen-Ostland biegła przez Niemen i na drugą stronę było raczej trudno się przedostać, zwłaszcza, że most był zerwany. Przez Niemen kursował prom. Przewoziliśmy opatrunki, bibułę, leki. Do szkoły wtedy nie chodziliśmy, uczyłam się prywatnie u p. Wincenty Falkowskiej. Poza tym pracowałam /żeby mnie nie wywieźli do Niemiec/ w aptecce mojego dziadka, ojca ojczyma.

Realizowałam recepty, była to zupełnie poważna praca.

Mimo wszystko i tak chcieli mnie wywieźć. Musiałam uciekać do miasteczka Roś, gdzie też pracowałam w aptecce, również przy wykonywaniu recept. W niedzielę jechałam na rowerze do domu. Było tam towarzystwo - 3 panów: lekarz, jego brat - student medycyny i syn właściciela pobliskiego majątku. Przychodzili do nas na karty /oficjalnie/. Było to trochę niebezpieczne, bo Niemcy chodzili pō domach i sprawdzali wszystkich. Ale dzięki temu, że mama dobrze znała niemiecki, mieli do nas inne podejście.

W pobliżu Łunny mieszkał lekarz - Rosjanin, który działał w Komitecie Białoruskim i knuł spiski przeciwko Polakom. Powiedział nam o tym później żandarm niemiecki - okrutny człowiek, który kazał nas inwigilować. Potem już żandarm opowiadał, że ten lekarz zasypywał go donosami, zwłaszcza o nas, np. o tym, że w naszym domu działa tajna organizacja. Jakoś się z tego wykręciliśmy, mimo, że żandarm często nas odwiedzał o różnych porach dnia. W końcu lekarz musiał wyjechać - jakoby uciekał przed partyzantami. A u nas bywało kilku podoficerów, których mama ostrzegła. Dzięki temu w Łunnie było mało ofiar.

W 1944 roku front zaczął się przesuwac na zachód i Niemcy uciekali. Nasz dom z apteką stał przy szosie, widzieliśmy jak Niemcy pędzili rosyjskich jeńców. Strasznie się z nimi obchodzili - zupełnie jak z bydłem, a ci ludzie byli brudni, głodni. Ja z okna zaczęłam im rzucać chleb, o który jeńcy bili się między sobą, a Niemcy bili ich za to wszystkich. Przestałam więc rzucać. Były to okropne sceny. Rosjanie równie źle obchodzili się później z jeńcami niemieckimi.

Łunna została zajęta przez wojska rosyjskie 15 lipca 1944 roku. Ale przedtem cała rodzina, prócz ojca wyjechała na wieś. Niemcy kazali ojcu spakować wszystko w aptecę i chcieli go zabrać ze sobą. Ojciec jednak uciekł, a Niemcy podpalili aptekę i nie pozwolili jej nikomu ratować. A był to dorobek całego życia dziadka. Bardzo to przeżył, ale i tak sowieci by to zabrali. Musieliśmy jakoś dalej żyć. Ojczym ze swoim bratem zorganizowali aptekę z leków, które uratowały się w piwnicy. Apteka była już jednak państwowa.

Po tym drugim wkroczeniu Sowietów panowało przygnębienie, nie było już tylu morderstw, jak w czasie pierwszej inwazji /np. w 1939 roku rozstrzelano na oczach całej rodziny posła na sejm, kalekę - p.Boładzia i wielu innych, głównie właściciele majątków, których zwali "pomieszczyki". Ale i po "wyzwoleniu" Rosjanie byli też straszni. 12-go i 13-go grudnia 1944 roku Rosjanie postanowili oczyścić sobie tyły i aresztowali wszystkich Polaków od Wilna aż po Stanisławów i Tarnopol - wszystkich mężczyzn m.in. niektórych Białorusinów. Ojca i brata wywieziono do obozu - do rep.Komi. Zostałyśmy same. Mama nigdy nie pracowała zawodowo jak zresztą większość kobiet przed II wojną, więc musiałam pracować, aby rodzinę utrzymać. Pracowałam w aptece. A jeszcze musiałam wysyłać paczki do obozu. Dziadek prowadził księgowość w aptece, nie tak jednak jak sobie życzyli bolszewicy. Zawiozłam kiedyś sporządzone przez niego sprawozdanie do Grodna, a tam zaczęli wydziwiać: jak ten wasz dziad prowadzi księgowość, co on tam wyczynia, to nic, że on ma 86 lat, on jeszcze może siedzieć w więzieniu. Przeraziłam się i zaczęłam ja sama to prowadzić, mimo, że nie wiedziałam, jak się do tego zabrać. Pytałam się różnych znajomych i wreszcie tak się wyćwiczyłam, że byłam najlepszą księgową w całym rejonie, a miałam 18 lat. Oboje z dziadkiem pracowaliśmy w aptece jako pracownicy państwowi. Musiałam przecież zarobić na rodzinę i na paczki do obozu. A wszystko znowu straciliśmy. Towary do apteki woziło się ze stacji w Grodnie - koleją, a potem na plecach 6 kilometrów. Najtrudniejsze było jednak

wysyłanie tych paczek do obozu, bo nie chcieli przyjmować. Ja znalazłam jednak takie "źródło", dawałam łapówki i moje paczki zawsze dochodziły. Tak ciągnęło się to dwa lata, dopóki ojczym nie wrócił. Brat po powrocie szybko się ożenił i pojechał do Polski. My zostaliśmy. Ja koniecznie chciałam się uczyć, skończyć chociaż maturę. Mieszkałam w Grodnie, gdzie zdałam maturę jako eksternistka w rosyjskiej średniej szkole. Znałam już dobrze rosyjski. Jeszcze w trakcie nauki zaczęto mnie wzywać do NKWD na przesłuchania. Po przesłuchaniach, które z reguły odbywały się w nocy odprowadzali mnie do domu - i to mnie najbardziej denerwowało. A korespondowałam wtedy z jednym z tych trzech panów - panem Tarasowiczem. Listy były oczywiście czytane i często zatrzymywane. Na przesłuchaniach pytali mnie o niego - siedział wtedy w obozie w Komi - za co on siedzi, a jeśli nie wiem, to mam się dowiedzieć. Odpowiadałam, że mnie to nie interesuje, jak chcą, to niech sami się dowiedzą. Śledczy; to znaczy, że nie chcecie nam pomóc? Ja, ja wam pomóc? Wykluczone! Wzięli mnie wtedy w trzy ognie: czym się zajmuję, czym się interesuję, co wiem o różnych naszych znajomych itp. Powiedziałam, że teraz interesuję się tylko książkami i zaczęłam mu wymieniać mnóstwo książek, które przeczytałam. Śledczy powiedział, że starczy, więc następne pytanie: kogo znam z wcześniej aresztowanych? Zaczęłam wymieniać tych, którzy zmarli w obozach. A on znowu na mnie popatrzył i powiedział: starczy.

Po zrobieniu matury chciałam zdawać na psychologię, ale w Grodnie tego wydziału nie było, więc do Instytutu Pedagogicznego na Wydział Języków Obcych przyjęto mnie w 1948 roku. I dokumenty, które złożyłam przeleżały tam aż do mojego powrotu z obozów. Przetarńczyłam bal maturalny, byli na nim bardzo mili koledzy /Rosjanie/, którzy mi bardzo pomagali na maturze, m.in. dostałam ściągę z historii partii. Na wyciągnięty przeze mnie bilet z trzema pytaniami nie znałam odpowiedzi.

17 sierpnia 1948 roku przyszło NKWD i aresztowało nas wszystkich, ojczyma, matkę i mnie bez żadnych zarzutów. Był jeszcze 8-letni chłopak - wychowanek rodziców, któremu

zostawiłam pierścionek i zegarek, z poleceniem oddania tego babci.

Zaprowadzili nas - wszystkich z AK do ciężarówki. Przejeżdżaliśmy koło domku dziadków, zobaczyli i nas, przeszli do promu, tam siedzieli i płakali. Już więcej dziadka nie widziałam.

Zawieźli nas do Grodna do piwnic MWD i po dwóch dniach przesłuchań - aresztowali. Okazało się, że zostaliśmy wydani przez członka naszej organizacji, jednego spośród nas.

Chcieli jeszcze na nasze głowy zrzucić inną sprawę. W okolicach Łunny pewien milicjant śledził partyzantów i oni go w końcu zastrzelili. Ja tylko tyle miałam z tym wspólnego, że widziałam jego pogrzeb w Grodnie. Ale oni pokojarzyli ze sobą różne fakty: wykryli tajną organizację i zabójstwo zwalili na jej barki, bo partyzantka była wtedy nieuchwytna. W naszym miejscowym AK było około 60 osób, a wykryli tylko 19.

Zawieźli nas do piwnic i zaczęło się śledztwo bardzo uciążliwe, bo nie można było spać - w dzień nie wolno było, a w nocy przesłuchiwali - wzywali po 3-4 razy w ciągu nocy, lub przez całą noc prowadzili śledztwo. Nic z nas nie wydusili. Ja stawiałam się mocno, w ogóle się nie bałam. Na przykład jeden mówi: "Wasi oficerowie tylko damy zabawiać potrafią". To już było po Katyniu, o którym wiedzieliśmy, więc powiedziałam: "Co? Damy zabawiać? Niech mi kto pokaże waleczniejszego w świecie żołnierza od polskiego" - "No, cóż, waszej Polski za trzy tygodnie nie stało" - A ja na to: " Bo wyście nam nóż w plecy wsadzili, napadli zdradziecko. A dlaczego to wy - tylko od jednego Niemca - aż pod Moskwę uciekaliście?" - "No, ale myśmy potem zwyciężyli". - "Tak? Zwyciężyliście. Dojechaliście na amerykańskiej tuszonce i na amerykańskiej broni". Po takiej wymianie zdań spodziewałam się straszego bicia i ku mojemu ogromnemu zdziwieniu śledczy zostawił mnie samą w pokoju /czego nie wolno było robić/ i wyszedł. Dopiero po pewnym czasie przyszedł drugi. Wszyscy przyznaliśmy się do AK, ale niczego innego się nie dowiedzieli.

Naszego plutonowego tak zbili, zmasakrowali, że po 8 dniach jego rodzona siostra go nie poznała. Siostra ta przechowywała jego broń, jakiś nagan. Gdy wezwali ją na świadka i skonfrontowali z bratem, śledczy zapytał: "Znacie tego człowieka?", a ona mówi, że nie. I dopiero, gdy brat odezwał się - głosem jak z podziemi - "Mila, oddaj broń" - rozpoznała go. Jak wróciła potem do celi, to myślałam, że ta kobieta straci zmysły, tak była przerażona tą masakrą.

Mnie jednak nie bili, tylko męczyli psychicznie, głodzili. Paczki dostawaliśmy dopiero po zakończeniu śledztwa. Ojczyzna wypuścili po 10 dniach, a nas z matką zatrzymano i sądzono z tego samego paragrafu białoruskiego kk 63-1, 70 i 76.

Zaczął się proces. Najpierw podpisano papiery u prokuratora. Sądził nas sąd wojskowy - wojenny trybunał w październiku 1948 roku. Z 19 osób 15 dostało najwyższy wymiar kary czyli wyrok śmierci z zamianą na 25 lat pracy w ciężkich obozach plus 5 lat pozbawienia praw i konfiskata mienia, 2 osoby - po 10 lat łagrów i 2 zwolniono. Kara śmierci była wtedy zawieszona. Mama i ja też dostałyśmy karę po 25 lat. Zawieźli nas do śledczego więzienia. Jeszcze przed zakończeniem śledztwa zawieźli mnie do piwnic MWD i zaczęli wałkować sprawy, o których absolutnie nie powinni byli wiedzieć. O dostarczeniu leków i opatrunków partyzantom w okolicy jednej szlacheckiej wsi, w której wszyscy należeli do AK. Przeraziłam się, że ich wykryją, zaprzeczyłam wszystkiemu i o dziwo dali spokój. O tym jednak mogła wiedzieć tylko moja mama i człowiek, który te leki odbierał. Potem okazało się, że moja mama, doprowadzona do obłądu, musiała im coś powiedzieć.

W więzieniu dawali jakieś środki odurzające, po których ludzie mówili wszystko. Stwierdziłam to na przykładzie mojej mamy i wielu jeszcze innych osób, które były obłąkane, w stanie furii. I ja sama po tym więzieniu okropnie straciłam pamięć tak, że dopiero po 6 latach zaczęłam sobie przypominać osoby, rozmowy, fakty i powoli zaczęłam czytać. W ciągu tych sześciu lat czytanie sprawiało mi ból głowy, wprowadzało w psychiczny zamęt.

Dlatego przypuszczam, że oni do jedzenia dawali jakieś trucizny, a mamę zastraszcili, pokazując jej buteleczkę: mów, bo widzisz, co zaraz dostaniesz. Mamę posadzili w celi obok mnie, słyszałam, jak się zachowywała, śpiewała, szalała, wykrzykiwała. To było straszne, przedtem była zdrowa. Lekarka zaczepiona przeze mnie, na pytanie, co zrobili z moją matką, odpowiedziała lekceważąco, że to chwilowa psychoza. Po jakimś czasie jeszcze w więzieniu matka wróciła do siebie.

Nie mam bezpośrednich dowodów, że nas truli, ale z różnych objawów wnioskuję, że tak było.

W więzieniu odebrano nam medaliki, paski, sznurowadła, szpilki do włosów i ostre rzeczy. Kiedyś kazano sprzątnąć dyżurkę, w której przedtem rewidowano grupę złapanych partyzantów. W kącie leżał cały stos medalików, ostrych narzędzi i sznurowadeł. Kazano nam to wyrzucić. Pilnował nas strażnik więzienny. W pewnym momencie, myśląc, że on na mnie nie patrzy, schyliłam się i wzięłam jeden medalik. Zaraz krzyknął: pokaż co wzięłaś? Ja na to, że nic. Wiedziałam, że on nie może mnie zrewidować, a zanim przyjdzie kobieta, już nic nie będę miała. Więc mi powiedział: jeśli mi pokażesz, co wzięłaś, to ci to oddam. Nie miałam wielkiego wyboru, pokazałam medalik, a dozorca: weź sobie. Zaszyłam ten medalik w kołnierzu płaszcza, przeszedł jakimś cudem przez wszystkie rewizje, a te były bardzo szczegółowe, sprawdzano każdy szew w ubraniu i wrócił ze mną do domu. Mam go do dzisiaj i uważam prawie za relikwię.

W styczniu 1949 roku zostałam wywieziona na etap. Cała podróż trwała miesiąc, zatrzymywaliśmy się m.innymi w Orszy, w Moskwie, Swierdłowsku, Nowosybirsku i wreszcie dotarliśmy do Tajszetu. Najpierw do obozu przejściowego, potem do zwykłego, na 112 kilometrów, licząc od Tajszetu, wzdłuż linii kolejowej, prowadzącej do Bracka odległego o około 300 kilometrów. W obozie tym przebywali przed nami jeńcy japońscy. Było więc względnie czysto, dużo dekoracji z białej brzozy. W porównaniu do innych obozów było wspaniale. Spotkałam tam wiele Polek, m.in. Teresę Skalską.

Były tam same polityczne, bo był to obóz "specjalnego reżimu"/łagiera osobowo reżima/. W tym obozie mieliśmy paskudnego naczelnika reżimu.

Około 75% więźniarek było Ukrainkami, również polityczne, skazane za zdradę ojczyzny, tzw. banderowki. W naszym baraku było kilka tylko złodziejek, recydywistek. Ukrainki często pięknie śpiewały, m.in. pieśń ze słowami, że "Kijów będzie stolicą, a Moskwa powali się". Słyszały to te bandytki, doniosły naczelnikowi obozu i cały nasz barak - około 150 osób zamknięto, tzn. wyprowadzano nas na dzień do pracy, ale zaraz po powrocie zamykano na zamki. Do środka wstawiano ogromny pararóg, który trzeba było rano wynosić. Błatniaczki wydały trzy dziewczyny, które to śpiewały. Zostały zabrane do karczeru, gdzie wpuszczano bandytki, żeby je bić. Przez pewien czas nie wiedziałyśmy, kto doniósł, Ukrainki patrzyły na mnie podejrzliwie, bo siedziałam obok śpiewających. Powiedziałam im, że po pierwsze wiedzą, że ja nie donoszę, po drugie - bardzo lubię ich pieśni, choć nie zawsze rozumiem słowa, tylko słucham melodii i tym razem nie zwróciłam uwagi na nie, a po trzecie - nie miałabym nic przeciwko temu, żeby "powaliła się Moskwa". Potem doszliśmy do tego, kto wydał. Tamte dziewczyny dostały, biedne, nowy wyrok. A nas trzymano miesiąc w takim rygorze, z rewizjami baraku i osobistymi.

Pewnego dnia dostałam paczkę z domu, w tekturowym, białym pudełku. Dziewczyny namówiły mnie, żeby z tego pudełka zrobić karty do wróżenia. Te, które umiały ładnie rysować, zrobiły talię kolorowymi farbami/wykradzionymi z jakiegoś warsztatu/. Talia ta służyła do wróżenia i wędrowała po całym baraku. Nagle rewizja, kazano nam wyjść z baraku. Wsunęłam te karty do rękawa, a byłam jeszcze wtedy niedoświadczonym więźniem. Przed barakami zobaczyłam naczelnika reżimu. Cofnęłam się więc, żeby gdzieś w baraku karty schować. Wsadziłam je za drzwi, ale naczelnik wszedł zaraz za mną i oczywiście natychmiast te karty znalazł. Stanełam przy baraku i czekałam, co będzie dalej. Naczelnik wyszedł, podniósł karty do góry i zapytał, czyje są. Odpowiedziałam od razu, że moje - nie chciałam, żeby znów

cały barak odbywał karę zamknięcia - a on się zdziwił i zapytał: wasze? i kazał wstąpić do szeregu. Stoję i denerwuję się (a byłam przekonana, że czeka mnie karcer), czy cały barak przez to nie będzie cierpieć. Dopiero po rewizji osobistej nastąpiło zdumiewające dla mnie rozwiązanie. Naczelnik zaczął krzyczeć na jakąś Rosjankę /już nie pamiętam za co/, że: "po co to kłamać, ot, człowiek się przyznał". I ja mu darowałam. On był po prostu zdziwiony tym, że ktoś się przyznał. A tę Rosjankę od razu zapędził do karceru. Ze mną jednak zaczął śledztwo. "Po co wam były te karty? Wyście pewno mnie chciały przegrać w karty?" - a ja jeszcze wtedy nie znałam zwyczajów u kryminalistów i zdumiona tłumaczyłam mu, że myśmy tylko wróżyły. W końcu ostentacyjnie podarł karty, a mi się ich żal zrobiło. Ale żadnej kary za to nie dostałam.

Do pracy chodziłyśmy do lasu - rąbać drzewo. Chodziłyśmy także nad rzekę Czuksza, nad którą był most kolejowy, a pod nim jeszcze nie rozebrane rusztowania z ciężkich, grubych kłoców drewnianych. Kazano nam je rozebrać. Pewnego razu, gdy kilka dziewcząt pracowało na górze, wszystko się zawaliło i dziewczyny spadły na ziemię. Jedna z nich miała połamaną miednicę, ale reszcie nic się nie stało. Ja z innymi więźniarkami znajdowałam się wówczas pod mostem. W ostatniej chwili zdążyłyśmy uciec przed spadającym rusztowaniem.

W obozie na 112 km było jedzenie dość znośne, podstawą był chleb, zdarzało się jednak, że dostawałyśmy także odrobinę mięsa. Przed Wielkanocą postanowiłam pościć w Wielki Piątek i nie jeść chleba. Ale już przy powrocie z pracy koleżanki mnie prowadziły, bo nie miałam siły. I więcej tego nie robiłam, zrozumiałam, że w takim obozie codziennie jest Wielki Piątek.

W czerwcu pojawiły się stada muszek, które oprócz tego, że dosłownie wyżerały nam dziury we wszystkich odkrytych miejscach, to jeszcze okropnie działały na nerwy, ich jad tak musiał działać. Te bestie boją się tylko wiatru, a w tajdze zupełny brak wiatru. Gnębiły nas również masy komarów równocześnie z "moszką",

ale te były większe, nie mogły więc przejść przez tiul. Oprócz tego plaga komarów trwała tam około 6 tygodni, wówczas kiedy "moszka" - przez całe syberyjskie lato.

Po pewnym czasie wywieziono mnie na wschód, na 238 km /od Tajszetu/ w kierunku Bracka. Był to obóz karny, dużo ostrzejszy niż poprzedni. Może wysłali mnie tam za moje sprzeciwy, zdecydowaną postawę kontra oprawcom radzieckim. W sądzie w "ostatnim słowie" powiedziałam, że żałuję iż za mało zrobiłam, jeśli chodzi o działalność w AK.

Na tym 238 km zaczęła się makabra. Ten okres jest dla mnie jak makabryczny sen - najgorszy okres życia obozowego. Było nas tam 500. Karmiono tak, że trzodzie chlewnej mogłyśmy zazdrościć jedzenia. Było to lato syberyjskie - sierpień ... Jedzenie, chleb nalewany do formy, rzadki - jak go zdusić, to leciała z niego woda. Zupa okropna - zaprawiana /zamiast tłuszczem/ proszkiem rybnym cuchnącym, gorzkim, okropnym do tego stopnia, że prosiłyśmy, żeby nam tego nie dawano, a jeśli już trzeba, to żeby dawali osobno, bo to wszystko razem było niejadalne nawet w tak strasznych warunkach. A zupa to była po prostu osolona woda. Raz jedna dziewczyna krzyknęła: "Słuchajcie, mamy dziś zupę grochową" - znalazła w niej bowiem dwie łuski grochu... Oprócz tego dostawałyśmy ryby, śledzie i inne, najczęściej z robakami albo zgniłe. Ja tego - mimo głodu nie mogłam jeść.

Praca była ponad ludzkie siły, nie tylko kobiece, ale ludzkie. Kułyśmy skałę wzdłuż linii kolejowej, porządkowałyśmy tak zwane płótno kolejowe. Nie było tam żadnych osiedli, tylko przeprowadzony dopiero co tor kolejowy, trzeba było robić rowy wzdłuż torów i podsypywać szyny. Najgorsze było kucie skały tępymi narzędziami. Tę skałę wysadzili dopiero wtedy, kiedy już prawie było wszystko gotowe.

Kiedyś cały dzień padał deszcz, suchej nitki na nas nie było. Oprócz tego nie można było nic robić, bo rowy były pełne gliny, która przyczepiała się do nóg razem z okruchami skał i wszystko "wynosiło się" z tych rowów. Przychodzi naczelnik obozu. Brygadierka zwraca się do niego: "Proszę nas zwolnić dzisiaj i puścić do obozu.

Jesteśmy zupełnie mokre i ta nasza praca na nic się nie przyda. Lepiej jutro dwie godziny dłużej popracować i zrobić wszystko". Naczelnik popatrzył na nią i powiedział: "mnie nie potrzebna wasza praca, tylko wasza męka".

Służba obozowa była częściowo złożona z kobiet więźniarek, które na ogół nam współczuły. Na 238 km była felczerka - Rosjanka, która starała się pomóc. Natomiast władze obozowe były obrzydliwe, męczyli nas na różne sposoby, zwłaszcza głodem i ciężką pracą. Moje koleżanki były do tego stopnia głodne, że chodziły po śmietnikach i wybierały z nich rybie głowy /więcej tam nic nie można było znaleźć/. Ja też miałam chęć tak robić, ale wstyd mi było przed sobą. Nie mogłam się tak upodlić, bo przecież jestem Polką i nie mogę sprawić wstydu mojej Ojczyźnie - w żaden sposób.

Racjonowano nam wodę. 50 metrów od obozu płynęła rzeczka, wody nie było w niej dużo, ale można było przywieźć tyle, ile trzeba. Ale przywozili jej zbyt mało, aby nas udręczyć - dostawałyśmy 1 litr dziennie na osobę. Można z nią było robić co się chce - myć się, pić, prać - wszystko z tego 1 litra. Naturalnie, wszystko wypijałyśmy, bo było lato upalne, a praca ciężka. Chowało się czasem trochę wody na zapas pod prycze, ale inne kobiety zawsze ją wypatrzyły i wypijały. Ja sama chodziłam do kuchni kraść wodę /wszystkie kradłyśmy/. Z higieną było okropnie - żarły nas wszy i pluskwy, łaźnia była najczęściej co 10 dni, ale tam też dostawało się mało wody. Prać nie było wolno. Oddawało się do prania 3 sztuki ubrania, ale "sztuka" to był zarówno biustonosz, jak i spodnie.

W lecie w pracy na powietrzu strasznie dokuczała "meszka". Kiedyś wyszłam tylko w pończochach, nie wiedząc jeszcze, że te bestie jak poczują krew, to się zaraz rzucają całymi chmarami - i dosłownie w ciągu paru minut nie miałam nie pogryzionego miejsca na nogach. Działo to fatalnie na system nerwowy, bo pogryzione miejsca piekły, puchły, krwawiły, a jad tych obrzydliwych meszek doprowadzał do szału. Wtedy zdesperowana i wykończona nerwowo postanowiłam, że wyjdę za "zaprietkę" /za

strefę oznaczoną tabliczkami, za którą nie wolno było wyjść. Jeśli się wyszło, to konwój strzelał bez uprzedzenia/. Wydawało mi się, że już więcej tego życia nie wytrzymam. I tu ukazała się wielka solidarność moich dziewczyn obozowych. Ukrainki wyznaczyły spośród siebie jedną młodszą dziewczynę, której kazały mnie pilnować, żebym nie wyszła poza tę strefę graniczną. Dzięki temu żyję ... /nie wiem zupełnie jak uszło uwagi konwojentów, że aż dwie dziewczyny nie pracowały, obie siedziałyśmy/.

Nie ulega bowiem wątpliwości, że zastrzeliliby mnie. Byłam świadkiem, jak próbowali zmusić jedną dziewczynę, żeby wyszła poza tę strefę i zastrzelić ją /za coś się narażiła konwojowi/, ale postawa nas wszystkich była taka, że im się nie udało.

Po tym wypadku chodziłam już w spodniach.

A oto jak wyglądał dzień pracy w obozie karnym na 238 kilometrów latem. Do pracy wychodziło się o świcie. Obiekt pracy był w pobliżu. Wzdłuż toru kolejowego wznosiły się skały. Ponieważ znajdowały się zbyt blisko toru, należało je "oddalić", a więc kuć za pomocą stępionych kilofów i łomów, wykopać rowy, odłamki skał wywieźć taczkami na pewną odległość. Praca była nieludzko ciężka, ręce do łokci miałyśmy spuchnięte, palce u dłoni nie chciały się zamykać ani otwierać, trzeba było pomagać sobie drugą ręką, aby wykonać jedną z tych czynności. W nocy bolały, nie można było spać. Do dzisiaj mam uszkodzony palec od tłuczenia łomem w skały.

Najgorsze były jednak chmary drobnych muszek, które żywiły się krwią. Napadały więc na nas i gryzły. Nie można było zostawić ani skrawka nieosłoniętego ciała, ponieważ natychmiast wyżerały dziury w ciele, tylko skóra na dłoniach była tak stwardniała, że jej nie mogły przegryźć.

Musiałymy więc zawiązywać spodnie u dołu, rękawy na twarz ubierać, tzw. "wakomarnik", czyli czarny worek z grubego materiału z niewielkim kawałkiem tiulu na twarz. Konwojenci mieli "wakomarniki" całe z tiulu, a więc przewiewne.

Lata syberyjskie są upalne - w tajdze zupełny brak wiatru i ciężka praca. Pot spływał z nas ciurkiem, wody było brak, duszno niesamowicie.

Konwojenci zaganiali nas do pracy, nie pozwalali na chwilę odpoczynku. Wyznaczali tzw. "zaprietkę", czyli linię oznaczoną tabliczkami, której nie wolno było przekroczyć pod karą śmierci. Na załatwienie potrzeb fizjologicznych i odejście w tym celu kilku kroków, należało prosić konwojenta o pozwolenie, on pozwalał albo nie w zależności od swojego widzimisie, czasami mówił "siadaj tu". W końcu umęczony i udręczony człowiek wracał do obozu. Tu dostawało się litr wody i jakąś obrzydliwą lurę zwaną bałanką, chleb 700 g i zgniłą rybę z robakami *dostawaliśmy rano.* W baraku były przeznaczone dla nas dwie deski na pryczach bez żadnej pościeli do spania, ubranie, w którym chodziło się do pracy zastępowało ją. W nocy z kolei żarły nas pluskwy, chmara obrzydliwych pluskwów i wszy. Spuchnięte do łokci ręce bolały, nie dawały spać.

W zimie nie gnębiły nas przekłete muszki i komary, z wodą też było mniej kłopotu, ponieważ topiłyśmy sobie śnieg w znalezionych puszkach po konserwach na piecach - beczkach po benzynie ułożonych poziomo, w których się paliło, jeżeli był opał, tzn. jeżeli pozwolono nam przynieść do obozu po kawałku drzewa. Natomiast mrozy dawały się mocno we znaki, dochodziło tu podobno do ponad 60°C /nie mogłyśmy tego sprawdzić/. Zanim doszło się do pracy, trzeba było kilkakrotnie rozcierać śniegiem zbolełe od mrozu policzki, nosy, brody, czoła. Wycieńczone organizmy bez odrobiny tkanki tłuszczowej były szczególnie podatne na odmrożenia. Podobnie było ze stopami w źle wysuszonych walonkach i dłońmi w mokrych rękawicach.

Szczęśliwie dla mnie nie amputowano mi odmrożonej nogi ani ręki, udało się je rozruszać i w ten sposób rozgrzać. Natomiast przez cały rok schodziła mi poczerniała skóra z twarzy, ze stóp, z dłoni i z ramion od dźwigania ciężkich bali drzewa, głównie z modrzewia, a modrzew jest chyba jedynym tak ciężkim drzewem, że nie daje się spławiać, tonąc w wodzie. Często stawał mi przed oczami obraz Grottgera "Dźwiganie krzyża". Tam wyobraźnia artysty kazała dorysować krzyż, który dźwigali idący na Sybir polscy powstańcy z 1863 roku, tutaj ten krzyż był autentyczny i bardzo ciężki.

Dźwigały go młode, polskie dziewczyny., którym miłość do Ojczyzny kazała stanąć obok ojców i braci i w miarę sił walczyć o Jej wolność.

Pracowałyśmy również przy kuciu kilofami rowów wzdłuż torów kolejowych w zamarznętej na skałę ziemi. Do pracy kazano nam chodzić piątkami, trzymając się pod ręce.

Na wstępie naczelnik konwoja czytał nam "modlitwę"... iść prosto, nie oglądać się, krok w prawo, krok w lewo uważam za ucieczkę. Konwój strzela bez uprzedzenia.

Zaczęłam chorować z wyczerpania. Robiły mi się wrzody na ciele - do dzisiaj to czuję. Przyjechał pułkownik - lekarz i komisja. Wchodziło się na badania nago, lekarz stał parę metrów dalej i nie dotykał żadnej z nas; kazał obracać się przodem, tyłem i spytał mnie, dlaczego ja mam obrzęknięte nogi. Odpowiedziałam, że nie wiem. On na to, że to pewno od pogryzienia przez meszkę. Wyjaśniłam, że ja nie puchnę od meszki /niektórzy puchli bardzo/. Lekarz pokrzyczał, postukał pięścią i kazał zgłosić się do kierowniczkii "sanczasti" - z jego polecenia. Ona natychmiast dała mi zwolnienie z robót poza-obozowych i dostałam pracę w obozie - daleko lżejszą: piłowanie drzewa na opał, pomoc przy kuchni, porządkowanie obozu itp.

Ta moja opuchlizna to była cynga /awitaminoza - szkorbut/. Ale potem zaziębiłam się silnie. Leżałam w baraku, dziewczyny przykrywały mnie czym się dało, a ja miałam takie dreszcze, że pod tym podskakiwałam pod sufit. Była duża gorączka - 39-40⁰C, zapalenie płuc. Dopiero po kilku dniach zabrano mnie do szpitala. Było tam o tyle lepiej, że nie musiałam latać do ubikacji; w baraku leżałam na górnej pryczy i kilka razy w nocy musiałam wychodzić na odległy kraniec obozu poza barak. W szpitalu leżałam parę tygodni. Leżało tam w jednej sali pięć czarnych kościotrupów- spalonych od słońca, z odmrożoną w zimie i latem schodzącą skórą. Po tej chorobie zostałam zupełną "docho-diagą", tzn. dogorywającą.

W zimie 1950 roku wywieziono nas /63 kobiety/ do szpitala na 38 kilometrów - w kierunku Tajszetu. Podróż odbywała się w potwornych warunkach: mróz minus 50⁰C, w nieopalanym towarowym wagonach, bez jedzenia, bez wody

do picia. Jechałyśmy trzy doby /mimo, że było to około 200 kilometrów/, bo odstawiano nas często na bocznicy na kilka godzin albo na całą noc.

Zamiast ubikacji było korytko wychodzące na zewnątrz. Prycz nie było, więc wszystkie siedziałyśmy na podłodze. Tłoczno, ciasno, dochodząc do tego korytka deptało się dosłownie po innych. Korytko na tym mrozie zamarzało bardzo szybko, poprosiłyśmy więc konwojenta, żeby dał nam łom do przebicia dziury. Zaczęłyśmy walić i korytko nam wypadło - została dziura w ścianie wagonu. I wtedy było najgorzej, bo zimno, głód, pragnienie można było znieść, ale nie brak ubikacji.

W kącie wagonu stała beczka, prawdopodobnie na wodę, ale pusta, na której leżała jakaś deseczka. Zaproponowałam więc, żeby załatwić się do tej beczki. Wkrótce jednak beczka była pełna. Zaczęłyśmy walić w drzwi, żeby konwój nam otworzył i pozwolił wylać beczkę. Krzyczałyśmy, prosiłyśmy - nie było żadnej reakcji. A wszystkie byłyśmy bardzo chore. Jedna z dziewczyn postanowiła udać, że zrobiło się jej słabo i że chcemy lekarza. Staliśmy wtedy na bocznicy, była noc. Po pewnym czasie przychodzi lekarz. Prędko opowiedziałyśmy mu, że nie mamy drzewa na opał, wody, a na dodatek pełną beczkę. Lekarz wysłuchał nas, zbadał tę dziewczynę i kazał dać wody. Nas zatkało, bo przecież przed chwilą mówiłyśmy mu, że nie mamy wody, a ten swoje: "słyszycie, dajcie mi wody, bo ja muszę dać chorej lekarstwo". Jedna z dziewczyn powtórzyła głośno i twardo: u nas nie ma wody. Ten się zdziwił: "jak to?, a w tym na czym siedzę nie ma wody? Aha. To wyście mnie podłe dziewczyny na paraszy posadziły" - wtedy dopiero wszystko sobie uświadomił. Był tak wściekły, iż powiedział, że nic nie dostaniemy. Ale mimo to, jak wyszedł, to wszystkie jak na komendę /była przecież ciemna noc/ wybuchnęłyśmy śmiechem. Tyle było naszej satysfakcji, że posiedział na paraszy. Lekarz przysłał tylko przez konwojenta krople dla dziewczyny, ale nie pozwolono nam pełnej beczki wylać, ani nie dano wody ni jedzenia.

Kobiety są jednak zupełnie inne od mężczyzn. Tym pociągiem /1 wagon z kobietami i 9 z mężczyznami/ jechali także mężczyźni chorzy, również do szpitala. Wśród

nich był jeden Japończyk, który nie mógł iść o własnych siłach. Po przyjeździe na miejsce wyładowano nas i kazano iść do obozu odległego od stacji o około 150 metrów. Konwój kazał więźniom prowadzić tego Japończyka, ale mężczyźni zaraz zaczęli krzyczeć: on udaje, on może iść, on jest zdrow. A widać było, że jest bardzo chory. Dopiero jak konwojent huknął, to dwóch mężczyzn - więźniów zaprowadziło go do obozu. Zanim wszyscy doszli do łaźni przy szpitalu, to ten biedak już nie żył.

Wśród kobiet nic podobnego nie mogło mieć miejsca. Jeżeli było coś cięższego do zrobienia - kucie skał czy dźwiganie drzewa - to myśmy wszystkie się za to brały, pomagałyśmy sobie, niezależnie od narodowości czy innych spraw. Jeżeli komuś było ciężko czy niedobrze, to myśmy same sobie pomagały, bez rozkazu konwojenta.

Mężczyźni wcale nie mieli cięższej pracy niż my. Kobiety robiły to samo co oni, np. przy tych skałach czy potem na Kołymie w cegielni.

Potem pracę w cegielni uznano za zbyt ciężką dla kobiet.

Kiedyś przechodziłam obok jakiegoś mężczyzny i litowałam się nad nim - jaki biedny człowiek, stał taki w nowym ubraniu, zmarznięty, z nosa mu kapało... Ale potem pomyślałam: ejże? biedny? A ja? Ja przecież jestem w takiej samej sytuacji, a z nosa mi nie kapie i nie jestem taka niedorajda jak on, chociaż mam stare połatanne ubranie. Mam wrażenie, iż był to kryminalista.

Więźniowie polityczni byli w sytuacji równie trudnej, co my, może jeszcze gorzej byli traktowani.

Widziałam też ^{więźniów} japońskich - pracowali przy moście - powieszali się jak pająki i ten most malowali /112 km/. Japończycy byli ludźmi wykształconymi, prawie każdy z nich miał skończone studia.

Przy moście w obozie oni niwelowali brzegi, a my wywoziłyśmy ziemię. Japończycy byli w starych, połatanych ubraniach, ale nigdy z dziurami, za paskiem wisiał ręczniczek, byli czyści, porządni, schludni.

Wywoziłyśmy ziemię na bardzo wysokich i wąskich trapach. Ja przeważnie wywoziłam ziemię. Z dołu dziewczyny

wyrzucały ziemię w górę - do taczki - z rozmachem ze trzy metry do góry. Ale jak o jedną łopatę więcej wrzuciły, to taczka spadała razem ze mną. Takich "skoków" dziennie było z pięć. Trochę się potłukłam, pośmiałyśmy się i nic. Ale raz potłukłam się tak porządnie, że odbiłam sobie pośladek i zaczął formować się wrzód przy kości. Dostałam gorączki, poszłam do saneczki - tam posmarowali mnie jodyną i już. I nawet nie dali zwolnienia. Na obiekt pracy chodziła jakaś pielęgniarka i smarowała mi pośladek jodyną w czasie pracy. I jednak - o, cudzie młodości - wrzód się rozszedł.

Wracam jednak do szpitala. Byłam tam jeden dzień. W czasie badania jedna pielęgniarka powiedziała do drugiej: "zdrowa". Zostałam odwieziona do innego obozu, tzw. "OP" - gdzie było nieco lepsze wyżywienie i nie ganiano nas do pracy. To było dla mnie najistotniejsze. Ale taka "sielanka" trwała tylko miesiąc. Potem znów nas odwieźli do innego obozu. Na tym etapie znalazłam się znowu wśród błatniarek. A ponieważ w wyroku miałam "terror", więc byłam niebezpiecznym przestępcą i wieźli mnie razem z zabójcami. Na ogół mazgajem nie jestem, ale wtedy siedziałam w wagonie i płakałam - po raz pierwszy. Jechałam w nieznaną i to z kim? Wiedziałam, jak to wyglądało: potem trafiało się do tej samej brygady co one, a trudno było żyć wśród tych kobiet.

Przyjeżdżamy do jakiegoś obozu, była niedziela. Dziewczyny z obozu lecą wszystkie zobaczyć, kto przyjechał. Ja patrzę - a są tam moje dziewczyny z "karnego obozu". Okazało się, że po moim wyjeździe z tamtego obozu odkryto jakąś aferę: ten podły naczelnik i księgowy /wolni/ okradli pielęgniarkę - "lekarza". Ona była na froncie i miała jakieś trofea z Niemiec, a oni jej to ukradli. Miała męża w głównym szpitalu i zaczęła dochodzenie. Oni wszyscy mieli namalowane portierey przez Łotyszkę - malarzkę /więźniarka/ i tylko ona mogła rozróżnić, czyje są portierey: czy lekarki czy ich. Pewnego ranka dowiadujemy się, że Łotyszka zmarła. Okazało się, że naczelnik z księgowym ją otruli, jako niewygodnego dla nich świadka.

Potem między sobą się pożarli i ten obóz karny został rozwiązany. Naczelnik został skazany na 25 lat, a księgowy na 10 lat obozów. Obóz karny zlikwidowano i dlatego moje dziewczyny znalazły się w tym obozie, do którego przyjechałam. Okazało się, że znały mnie i pamiętały, nie tylko dziewczyny z mojej brygady, ale wszystkie 500...

Zanim odbyła się przed bramą rewizja, dziewczyny przyniosły do obozu moje rzeczy. Jak weszłam do baraku, moje rzeczy już leżały na pryczy - zostałam więc w swojej dawnej brygadzie. Wszystkie pięćset urządziły mi takie powitanie, że do dzisiaj je pamiętam. A były tam Rosjanki, Ukrainki, Łotyszki., kilka Polek, Litwinki...

W tym obozie była studnia, więc można było wody brać ile się chce - i napić się, umyć, uprać. Była to zima, prace były lekkie, tzn. nosiliśmy drzewo do obozu z odległości 4 km po 4 razy dziennie. Wynosiło to 32 km, w tym 16 km z ciężarem. Walonki dziurawe i przemoczone nogi. Pobyt w tym obozie miał się ku końcowi, wkrótce czekał mnie nowy "etap" na Kołymę.

Do Tajszetu wyjechałyśmy na przesyłkę pociągami. Wagony stały bardzo wysoko, tak, że dwóch żołnierzy wciągało nas do wewnątrz, a potem rzucali jak worki, czasem uderzałyśmy głowami o ściany. W ogóle stosunek konwojentów do więźniów w Tajszecie był okropny. Konwojenci byli Rosjanami, Kałmukami, specjalnie źle nastawianymi do nas.

Przyjechałyśmy do Tajszetu z obozu o 200 km odległego. Do tego obozu przesyłkowego przywieziono mnóstwo ludzi. I bardzo dużo mężczyzn. Było to w kwietniu 1950 roku. Za ścianą naszego baraku byli mężczyźni bandyci.

Dowiedzieli się, że w sąsiedztwie są kobiety, wykuli więc otwór w ścianie i przechodzili do nas. Strażnicy obozowi dowiedzieli się o tym. Stanęli po obu stronach otworu i walili ich pałami, z niewielkim skutkiem zresztą. Część bandziorów przedostała się na naszą stronę i usiłowała gwałcić umęczone podróżą w specyficznych warunkach kobiety. Dzięki obecności strażników "wyprawa" się nie udała, ale ja do dzisiaj mam w pamięci tę makabryczną scenę. Zezwierzęcenie? Chyba jednak zwierzęta potrafią

zachować się bardziej etycznie. Trzeba to nazwać chyba zwyrodnieniem, zupełnym pozbawieniem moralności.

Z tego poprzedniego obozu wzięto nas około 240, czyli prawie połowę liczebności. Tamten obóz na 217 kilometrów został zlikwidowany, a silniejsze i młodsze osoby wywieziono na Kołymę. Tylko myśmy jeszcze nie wiedziały, co to jest za zwierzę. Po dwóch tygodniach zaczęto formować olbrzymi etap. Mnie też wzięli, chociaż byłam wątła, bardzo szczupła, ale za to młoda. Nas ustawiono na górze, a na ogromnym placu ustawiono mężczyzn. I tak widziałam, jak się z nimi obchodzono. Z nami - źle, ale z nimi - to już super-źle. Ciągłe ich przestawiano, formowano piątki, kazano biegać, zupełnie jakby tresowali psy, a może nawet gorzej. I do tej pory mam ten obraz przed oczami.

Potem załadowano nas do wagonów, które dla mnie, po tym co przeszłam były wprost cudowne. Były to wagony bydłowe, ale podzielone na piętra z pryzkami, gdzie każdy mógł znaleźć miejsce i nawet położyć się.

Na górze było okienko, co prawda zakratowane, ale można było przez nie coś zobaczyć. Poprzednio, nawet w wagonach osobowych, było nas tyle, że nie można było wyciągnąć nogi, wychodziłyśmy z nogami opuchniętymi jak kłody. Był już kwiecień, ciepło, więc nie trzeba było palić w piecach-beczkach.

Dojechaliśmy na bocznicę do Chabarowska, a był wtedy 1 maja. Z okienek obserwowaliśmy ludzi odświętnie ubranych. Spotkaliśmy po drodze parę pociągów z młodymi ludźmi jadącymi w tę samą stronę. Byli to poborowi. Potem spotkaliśmy ich już w mundurach.

W końcu przywieziono nas do Buchty Wanino. Był to olbrzymi kompleks baraków, zupełnie jednakowych tak, że raz w nocy zabłądziłam i nie trafiłam do swojego baraku.

Obiady przynoszono nam w nocy - nie wiem dlaczego. Tylko nadzorcy mówili między sobą ze zdziwieniem - popatrz, one śpią, one w nocy śpią. Okazało się, że oni byli przyzwyczajeni do innej kategorii ludzi, do bandytek i złodziejek, które szalały po nocach - kradnąc, zabijając itd.

Potem dopiero poznałyśmy je, bo dodali do nas sporo tych bandytek - grabiły, kradły, zabijały topiąc trupy w ubikacji. Było to nie do wytrzymania... Politycznych było nas 1500-1600. I spośród tych wszystkich my - te 240 - jeszcze długi czas różniłyśmy się. One też przyjechały z innych obozów, ale my wyglądałyśmy wyjątkowo fatalnie - kościotrupy pociągnięte czarną, spaloną słońcem i odmrażaną ciągle w zimie skórą. Dopiero po pewnym czasie upodobniłyśmy się do innych.

Pewnego razu wyprowadzono nas wszystkie polityczne do posiołku "Uj". Było tam kilka baraczków nad rzeczką. Oddzielili nas od tych bandytek. Chociaż baraki były przeładowane, spaliśmy jak śledzie w beczce, musiałyśmy się obracać na komendę, cały rząd jednocześnie. Mimo ciasnoty zmianę obozu przyjęłyśmy z ulgą. Prac ciężkich nie było, tylko te wokół obozu i w tzw. zonie. To był czerwiec, ponieważ jednak w tej części globu wiosna spóźnia się o miesiąc, było tak pięknie i świeżo, uroczo i zielono jak u nas w maju. Z przyjemnością chodziłyśmy do lasu po drzewo, w rzece można było przeprać sobie jakieś rzeczy. Wodę brałyśmy z rzeczułki poza obozem, wartownicy pozwalali na to. Jedzenie też było dużo lepsze niż gdzie indziej. Traktowaliśmy to jako obozowy urlop. Taka "sielanka" trwała 5 miesięcy.

Pewnego dnia zaczęto nas szykować do etapu.

Załadowano na okręt, który nazywał się "Nogin" - rybacki niewielki statek, strasznie cuchnący rybami. Załadowali nas w niedzielę wieczorem, a ponieważ marynarze w poniedziałki nie wypływają z portu - są przesądni, więc wyruszyliśmy dopiero pięć po północy we wtorek. Zaczęło nas strasznie kołysać, zaczął się sztorm, nawet marynarze chorowali na morską chorobę. Mieliśmy dużo dobrego jedzenia, ale nikt nie mógł nic jeść. Ja leżałam na pryczy. Przed wyjazdem dostałam paczkę z domu, a w niej witaminę C, która mnie ratowała. Nie leżałam więc na podłodze i nie robiłam kłopotu nikomu.

Na statku były piętrowe prycze. Na załatwienie się trzeba było wychodzić na pokład. Raz się zdarzyło, że

te ubikację nam splukało z pokładu, ale na szczęście w niej wówczas nikogo nie było.

Było nas ponad 1600 kobiet - same polityczne. Polek było kilka - Krysia Zajączkowska, Zosia Neugebauer, Władzia Kiewlak /została na Kołymie, bo wyszła za mąż za Białorusina/.

Podróż trwała tylko 5 dób. W połowie października dotarłyśmy do Magadanu do portu Nagajewo. Mężczyzn płynęło dużo więcej niż nas - w sumie było około 4 tysięcy ludzi, nie mogę tego dokładnie określić.

Przywieźli nas do portu. Myśmy nie mogły chodzić, tak byłyśmy zmęczone podróżą, więc przyjechały po nas samochody i zabrały na 4 km na przesyłkę. Tam były baraki i jeden duży namiot na około 150 osób. Ja trafiłam do tego namiotu z uwagi na wyrok 25 lat. Nie miałyśmy jeszcze zimowego ubrania, więc nas nie wyganiano do pracy, ale jedzenia było mało, a namiot był praktycznie nie opalany. Zima na Kołymie zaczyna się w drugiej połowie września i trwa do czerwca. Na noc nas zamykano. Tzw. zona była wynajęta - dla nas - dla Bierłagu od ITŁ, a poza naszym obozem był obóz dla mężczyzn kryminalnych ITŁ. Mężczyźni dowiedzieli się, że są kobiety i starali się przedostać do tego obozu. Akurat była zima z zamieciami śnieżnymi, które tam zwa "purga" i której mieszkańiec Europy Środkowej nie jest w stanie sobie wyobrazić. W czasie takiej zamieci strażnik na wyżce też nic nie widział i złodzieje korzystali z takiej pogody, żeby przedostać się do naszego obozu. Do baraku trudniej było wejść, ponieważ zamykano nas na noc z zewnątrz, ale do namiotu - wystarczyło tylko przeciąć płótno nożem. I przychodziło takich 20-tu, albo i więcej - wiadomo, w jakim celu, a na nas skóra cierpła. Człowiek udawał szmaty. Ja spałam na górnej pryczy, nikt nie poruszał ani ręką, ani nogą, bo jakby ktoś się poruszył - to on by zaraz tam siedział, z nożem w dodatku. Boże, przypominam sobie ze zgrozą te chwile.

Były także dziewczyny, które zgadzały się na te wizyty - i to nie ze strachu. Znajdowały się chętne, przeważnie na dolnych pryczach, Rosjanki /polityczne/.

Nie można było wzywać pomocy, bo oni by nas z zemsty po prostu porżnęli. Przecież im za to groziła ciężka kara. Wynosili się więc tą samą drogą. Rano meldowałyśmy o tym władzy i na tym się kończyło.

Był raz taki wypadek w dzień - przy drzwiach do naszego namiotu robił coś cieśla - więzień z numerem jak my /ja miałam D2-433/. Miał w ręku siekiere i naprawiał drzwi.. Przyszło dwóch takich smarkaczy po 15 lat i zachowują się jak trzepoczące ptaki - nie wiedzą, co ze sobą zrobić. Prawdopodobnie przegrali w karty. Tam się grało w karty o czyjaś głowę. Jak przegrał - to musiał kogoś zabić albo wygrani zabijali jego - takie było prawo w tych obozach bandyckich. Po chwili przyszedł nadzorca, wyjątkowo okrutny, o przydomku "Mula", wielkie chłopisko. Pyta się: mężczyźni u was są? Odpowiadamy, że nie ma. Dziewczyny dały im chustki, schowały między siebie, jeden wszedł pod prycze. Nadzorca zajrzał jednak pod prycze, wyciągnął chłopaka, złapał siekiere od cieśli, żeby mu rozwalić głowę. Zaczęłyśmy okropnie wrzeszczeć, więc dał spokój. Wyprowadzili go przed namiot. Leżały tam kilofy po jakiejś pracy. I tam, przed namiotem zabił tego chłopaka. Potem pyta: gdzie drugi? Wszystkie nas wezwał na apel i kazał zdejmować chustki, a mężczyźni mieli ogolone głowy. Ten drugi chłopak miał chustkę, ale zauważyli gołą głowę i zabrali go. Ustawili nas wszystkie i kazali patrzeć, jak zabijają tego chłopca. Kilku zbójów - strażników zaczęło go kopać, deptać, aż zupełnie zbitego wzięli do szpitala i następnego dnia zmarł. Zamordowali go, robili to zupełnie na trzeźwo.

Potem, kiedy ci mężczyźni zaczęli już przychodzić za dnia, to ich przerwucili gdzie indziej, a mężczyzn politycznych - na nasze miejsce, nas do obozu męskiego. I ja znowu trafiłam do namiotu. W sumie cztery zimy kołymskie spędziłam w namiocie. Okrywałyśmy się tym, co miałyśmy na sobie: watowane spodnie, tiełogrejka i buszłat. Niektóre miały jakieś koce. I to wszystko na siebie nakładaliśmy, jakoś przytulałyśmy się do siebie. O rozbieraniu się nie było mowy. Kiedyś purga zniosła dach z namiotu i śnieg na nas sypał. W czasie zamieci nie wolno było palić w piecach, a w ogóle to nie było czym. Czasami po

cztery doby w czasie tych zamieci nie dostawałyśmy nic do jedzenia i nawet nie miałyśmy do władz o to pretensji, bo ani nie można było ognia zapalić ani nic dowieźć.

I myśmy tak głodne, zziębnięte leżały i czekałyśmy, aż purga się skończy. Nasz namiot był usytuowany tak, że wyjście było na zachód, a sąsiedni na przeciwko - na wschód. Wiatry wiały od wschodu tak, że wejście do naszego namiotu było zavalone metrami sześciennymi śniegu, za nic w świecie więc nie mogłyśmy stamtąd same wyjść. Musiała przyjść cała brygada /około 30 osób/ z sąsiedniego namiotu, w którym wyjście było usytuowane na wschód, aby nas odkopać.

Stan sanitarny był opłakany. Z uwagi na zimno nie można było się rozebrać. Czasami tylko, jeżeli udało się ukraść parę kawałków drzewa, można było natopić śniegu i trochę umyć się. Co dwa tygodnie mniej więcej pędzono nas do łaźni miejskiej w Magadanie, z reguły w nocy. Tam poddawano "obróbce sanitarnej", to znaczy golono owłosione miejsca /z wyjątkiem głowy/, ubranie i bieliznę poddawało się do odwyszalni. Do kąpieli dostawało się kawałeczek mydła, następnie mokre, nie wytarte naciągałyśmy swoją brudną bieliznę i ubranie z "prożarki" i pędzono nas znowu 4 km przy silnym mrozie do zimnych namiotów.

Ubrania wszystkie dostawałyśmy - czasami i bieliznę, ubrań wierzchnich swoich nie wolno było nosić. W czasie miesiączki używałyśmy jakieś stare szmaty. Żadnych środków higienicznych nie było.

W baraku było około 150 osób, ale czasem w ciągu całego pobytu w łagrach dochodziło do 450. Wtedy było to nie do zniesienia przez ustawiczny gwar, przy 150 osobach dało się wytrzymać.

W obozie na 4-tym kilometrze było kilka baraków, a w nich po 150 ludzi. Kobiet było dużo mniej niż mężczyzn. W jednym obozie więźniów było od 1500 do 5 tysięcy. Na 18-tym kilometrze było więcej kobiet - do 3 tysięcy, same polityczne, oprócz pojedynczych kryminalistek, które dostawały karę za ucieczkę z obozów.

Spotykałam tam też starsze kobiety, w wieku mojej

mamy, nawet Polki, np.p. Ania Orszewska z Wilna, p. Maria Malec. Ja byłam jedną z najmłodszych. Dopiero potem, w 1953 roku z następnego transportu pojawiły się młodsze.

W obozie przesyłkowym na 4-tym kilometrze przeżyłam najgorszą zimę. Potem i mnie zabrano do obozu na 6-tym kilometrze, gdzie byłam też w namiocie. Chodziłyśmy do pracy budowlanej - budowało się magazyny z kamienia. Tam byli dużo lepsi konwojenci/zwłaszcza w porównaniu do Tajszetu/. Władza - jak wszędzie. Pobudka była o piątej rano, potem szybko, szybko śniadanie, rewizja osobista i apel. W rezultacie stało się ~~to~~ pod wrotami obozu dwie godziny czekając, aż nas wyprowadzą do pracy. Ja zawsze się buntowałam - po co ja mam tu stać na mrozie? Przy rewizji było 5 bab - wolnych Rosjanek, które nas obmacywały, czy przede wszystkim nie wynosimy jakiegoś listu ... A list można było pisać dwa razy na rok, po rosyjsku, o określonej treści. Zazwyczaj nigdy te listy nie dochodziły do adresata, więc próbowałyśmy wysyłać nieoficjalną drogą. Także przy rewizji szukano tych listów, pieniędzy /które czasami przysyłano nam z domu/, jakichś innych rzeczy, nie wiem jakich.

Często ja i kilka innych dziewcząt zostawałyśmy w baraku i dołączałyśmy do kolumny, jak zaczęła wyruszać. Pewnego razu przyjechał nowy zastępca naczelnika obozu - major Kozłowski - i on pilnował, żeby wszyscy byli w kolumnie. Biegamy więc wokół namiotu, żeby ukryć się przed nim i jakoś dostać do kolumny. Sprzymierzeńcem naszym była ciemność, zdradzał nas jednak śnieg skrzypiący pod nogami. Wreszcie krzyknął: "Długo ja będę bawił się z wami w chowanego?". Musiałyśmy więc dołączyć do kolumny. W tym momencie patrzę - złapał jedną dziewczynę, rzucił na ziemię i zaczął ją bić. Zdecydowałam się wyjść i nie pozwolić by mnie ten oprawca bił. Wezwał "nariadczycę" /najwyższa funkcja więźniarki w obozie/, żeby zapisała nasze nazwiska. Ja podeszłam, postąpiłam i nic nie powiedziałam - odeszłam. W ten sposób nie zapisała mojego nazwiska. Była zupełnie dezorientowana - i nie spytała mnie. Po powrocie z pracy wywołują te zapisane do pracy w obozie /jako karę/ do

północy. W sumie i tak nigdy nie wiedziałyśmy jak długo pracujemy, ale po pracy poza obozem byłyśmy już bardzo zmęczone. Mnie nie wywołali, więc nie poszłam. Ukrainki zaczęły mnie wypytywać, co ja zrobiłam, że nie chodzę do tej pracy nocnej. Opowiedziałam im co się stało i uwierzyły.

W pracy i w obozie obowiązywała nas tzw. "forma" /mundur swego rodzaju/ - obozowe waciaki, spodnie, spódnice z naszytymi numerami na plecach, czole /chusta/ i prawym kolanie. Mój numer był D~~1~~-433.

W namiotach paliło się w metalowych beczkach, ułożonych poziomo, od których rura wystawała na zewnątrz. Jak się przestawało palić, to od razu robiło się zimno. Ściany namiotu z zewnątrz obsypywałyśmy śniegiem, tak było ciepłej. Ale najgorsze były sufity-dachy. Jak się zaczęło palić, to lód z sufitu topniał i wszystko leciało na te nasze dwie deski. To była prawdziwa rozpacz. Człowiek strasznie zmęczony nie miał nawet miejsca, żeby się położyć, bo wszędzie padało mu na głowę. Stawiałyśmy słoiki, miednice, ale i tak nic nie pomagało. A w nocy robiło się zimno i człowiek przymarzał do ściany namiotu. Podłoga mokra, śliska, upadłam na nią kiedyś jak długa.

Ludzie często chorowali. Ja też - prawie co miesiąc miałam zwolnienie tzn. chorowałam z gorączką.

Na 6-tym kilometrze byłam około 3 lat. Nasza brygada oprócz innych prac chodziła na sopki /niewysokie góry o łagodnie spadających zboczach, oddalone o 5-6 kilometrów od obozu/ karczować pnie poprzednio ściętych drzew. Praca była ciężka szczególnie w zimie, kiedy trzeba było usuwać grubą warstwę śniegu, mróz do 40^oC również nie był naszym sprzymierzeńcem. Przyjeżdżały traktory z ogromnymi saniami, na które ładowaliśmy pnie. W maju, kiedy jeszcze było dużo śniegu, ale dużo światła /słońce zachodziło na parę godzin tylko/, które odbijało się od śniegu i raziło oczy powodując zapalenie spojówek. Robiłyśmy sobie wówczas okulary z miedzianego drutu i farbowanej na niebiesko gazy. Trochę pomagało; praca na sopkach miała jednak ogromną zaletę. Otóż prawie

w ciągu całego roku można tam było zbierać jagody. W jesieni borówki - brusznice, żymłoch /krzewy, na których zbierało się jagody w smaku i koloru przypominające śliwki, były tylko niezbyt duże i nie miały pestki/, czarne, słodkie jagody /nie pamiętam ich nazwy/ rosnące na ścielących się łodygach, podobnych do widłaku i gołubińka, krzewy dużych, dorodnych jagód. W zimie trafialiśmy na zmarznięte borówki - brusznice pod śniegiem, były bardzo smaczne. Również po zejściu śniegu borówki-brusznice można było zbierać. Dzięki temu w jakiej-takiej kondycji udało mi się przeżyć obóz.

Jeśli chodzi o stan psychiczny, to stałyśmy się tam automatami. Nie miałyśmy nadziei, że kiedykolwiek stamtąd wyjedziemy. Kiedyś dostałam wiadomość o śmierci mojego ukochanego dziadka. Wówczas okropnie się załamalam. Płakałam, chodziłam jak struta. Dziewczyny - i Ukrainki, i Polki usiłowały mnie pocieszyć, mówiąc: nie płacz, to był już stary człowiek. I ta pociecha najbardziej mnie denerwowała. Co to znaczy "stary człowiek"? Człowiek kochany nie ma wieku, zawsze jest kochany. Ale czas leczy rany, jednak nie do końca. Kiedyś, w lutym 1953 roku płakałam wieczorem i mówiłam: "Dziadziusiu kochany, i ty nam nie powiesz, co się tu z nami stanie, ty chyba wszystko wiesz". I tej nocy śnił mi się dziadzius, że jestem z nim w sadzie, który tak kochał, pełno pszczoł, kwitnie śliwa i dziadzius mówi do mnie - on umrze. Nie powiedział kto, ale ja wiedziałam, że chodzi o jakąś osobistość, od której zależał nasz los. I dodał: wówczas wam będzie lepiej.

A 5 marca już umarł Stalin. W namiocie miałyśmy zainstalowane radia-toczki /"kołchoźniki"/. Kilka dni przed śmiercią Stalina nękała nas smutna muzyka, płynąca z radia. Po śmierci przesładowano nas już przerażającą muzyką, również w nocy. Panowało straszne napięcie, nie mogłyśmy nawet uśmiechem wyrazić radości z powodu śmierci swego gnębiciela. Pilnowała tego straż więzienna, a także nieliczne więźniarki-kryminalistki opłakujące swego "batiuszkę". Stopniowo, choć bardzo powoli sytuacja nasza zmieniała się na lepsze.

A poza tym to nie było życie, to była marna wegetacja. Jakichś wielkich załamania psychicznych nie było, bo dziewczyny były tak zmęczone fizycznie, że nie miały już siły na nic. Psychiczne załamanie miałam w obozie karnym w Tajszecie - tam się chciałam rzucić pod pociąg. Coś lub może Ktoś powstrzymało mnie jednak od tego desperackiego kroku. Raz chciałam wyjść za "zaprietkę", te muchy tak mnie pogryzły.

Na Kołymie już tego rodzaju załamania nie było - wydawało się, że tu jest lżej, mimo że mieliśmy numery i ostry reżim. Czasem jednak były kary za błahe przewinienia. Np. w jednych obozach trzeba było sobie malować biały numer na czarnym tle, a w innych odwrotnie. Kiedyś, przy przechodzeniu z jednego obozu do drugiego nie zdążyłam zmienić tych numerów i wsadzili mnie za to do karceru. Był to barak z celami oddzielony od innych baraków w obozie drutami. W celi stało żelazne łóżko niczym nie pościelone. Raz dziennie dawano 300 g chleba i porcję zupy. Chodziłam stamtąd do pracy i dziewczyny podrzucały mi trochę jedzenia. Strażnik pilnujący karceru uważał, że ja siedzę za przerzucanie różnych rzeczy do obozu męskiego /myśmy rzeczywiście do męskiego obozu przerzucały przez płot listy, jakieś drobne prezenty na Święta często do nieznanomych Polaków i vice-versa. Wyjaśniłam za co siedzę, a on z kolegą w ramach swobodnego żartu założył mi kajdanki. Chcieli, żebym podpisała "cyrograf", że nie chciałam wyjść do pracy, chcąc kryć swoją koleżankę, która mnie kazała zamknąć. Odmówiłam stanowczo. Pośmiali się trochę i kajdanki zdjęli. Wypuszczono mnie już po dwóch dniach.

W obozie przesyłkowym w Magadanie odwiedziłam Krysię Zajączkowską. W jej baraku były bardzo wysoko usytuowane prycze. W baraku tym urządzono "Koncert noworoczny", widowisko raczej, które my z Krysią mogliśmy oglądać, siedząc pod pryczą. Podglądając go usłyszałam piosenkę: "Dorogije Kołymczanie, dorogije moi ziemliaki..." od tego momentu nadzieja na powrót we mnie zgasła, bo piosenkę zrozumiałam jako potwierdzenie, że traktują nas wszystkich jako "ziemlaków", w związku z czym nigdy stąd nie wyjedziemy.

Ja byłam zawsze bardzo buntowniczą naturą. W obozach nie modliłam się. Nie dlatego, że odrzucałam Pana Boga, religię, ale nie chciałam nikogo o nic prosić. Np. po sądzie można było składać prośbę o ułaskawienie, ale ja to odrzuciłam, bo nie mogłam I C H o nic prosić. Nawet pisząc do domu - bardzo rzadko pisałam, że coś mi trzeba. Nie pisałam też do swoich znajomych, bo myślałam, że może się mnie wyrzekli, że może im zaszkodzić taka korespondencja. I dlatego też Pana Boga nie prosiłam o nic. Wierzyłam ... Wspominałam sobie nieraz lata młodości, nabożeństwa, ale nie modliłam się. Wiara mi nie pomagała. Dla mnie najwyższą wartością była Ojczyzna. Wiedziałam, że muszę się tak zachowywać, żeby imienia mojej ojczyzny nie splamić. Chodziło o sposób zachowania się - na codzień. Np. dziewczyny tłoczyły się ^{przy} wrozdawaniu chleba czy zupy - ja nigdy nie przepychałam się. Miałam świadomość, że według tego jak zachowują się Polki - inni będą odpowiednio traktować Polskę. Dotyczyło to także obrzydliwego słownictwa obozowego, nagminnie używanego, wiązania się z mężczyznami. Nietrudno było o to. Według mnie w tych związkach był tylko seks, a nie uczucie. Ale może to była tęsknota za uczuciem?... Ja nawet przeżywałam coś takiego - z wzajemnością... Ale nigdy z tym człowiekiem nie zamieniłam nawet dwóch słów. Były tylko spojrzenia. Trudne to było.

Nie chodziłam również po śmietnikach. Byłam tak samo głodna jak wszystkie, ale nie chodziłam. Nie potępiam innych za to, ale ja nie mogłam się na to zdobyć, żeby szukać rybich główek w śmietnikach.

Za pracę "niegodną" uważałam donosicielstwo i w zamian za to pracę na eksponowanym stanowisku. Był taki wypadek: jedna z moich znajomych /Halina/ miała jakiegoś sąsiada z kraju - w męskim obozie. Oszczędziła swoją pajkę chleba, żeby ofiarować chleb temu znajomemu. Przekazała pajkę przez innego Polaka. I ten chleba nie doniósł - zjadł po drodze. Dla mnie to było nie do pojęcia. Rozumiem go, on był głodny, ale ja bym tego nie zrobiła. Miałam za sobą wychowanie harcerskie.

W 1953 roku - jak zmarł Stalin - byłam na 6-tym

kilometrze. W międzyczasie wożono nas do różnych prac przejściowych, m.in. do бухty /zatoeki/ "Wesoła".

Po śmierci Stalina przewieziono mnie na 18-sty kilometr. Było już tam lżej, mniejszy reżim. Korespondencja była ożywiona, można było czytać i pisać w nocy /cała noc paliło się w barakach światło/. Poza tym robiłam różne robótki, haftowałam - przeważnie za chleb, ale i trochę dla siebie, żeby się lepiej czuć.

Wszyscy moi znajomi ze sprawy zostali w Tajszezie, więc korespondencję prowadziłam z rodakami, którzy byli na Kołymie. Pisaliśmy na jakimś zdobytym różnymi sposobami papierze - ołówkami. Poczta obozowa funkcjonowała idealnie - w przeciwieństwie do oficjalnej. Trafiały listy nawet bez nazwiska, np. adresowane: "Do Wandy - Polki".

W obozie była już biblioteka, książki rosyjskie, ja znałam dobrze rosyjski, więc dużo czytałam. Czytałam w nocy i w czasie tego 2-godzinnego "rozwođu". Zamiast stać i marznąć - siedziałam w baraku i czytałam. Wychodziłam, jak brygada miała wyjść do pracy. Ale kiedyś spóźniłam się i brygada była już za bramą. Poszłam na wachtę i mówię, że weszłam do baraku po tiełogriekę, a tymczasem moja brygada wyszła. Strażnicy dyskutowali, w końcu jeden powiedział, że mnie doprowadzi do brygady. W tym czasie zjawiła się wolna "nadziratel'nica" i zaczęła wykrzykiwać: "posadzić ją, posadzić, do karczeru"! A żołnierze na to: "za co ją posadzić? Przecież ona wyszła do pracy?" - i szybko zabrali mnie do brygady. I tak żołnierze wstawili się za mną! To było bardzo ważne - ta zmiana stosunku żołnierzy do nas. Z czasem zaczęli nas prosić, żebyśmy im coś przyszyły i uprały, a niektórzy przynosili nawet listy nieoficjalną pocztą.

W 1954 roku postanowiłyśmy urządzić sobie Wielkanoc i nawet kupiłyśmy dwa jajka. Jedno posłałyśmy mężczyznom, a drugie było u nas - pomalowane akrichiną na żółto. W sklepiu sprzedawali biszkopty - zrobiliśmy z nich "tort". Ugotowałyśmy też makaron, który trzeba było przemycić spoza zoły. Niesiemy ten makaron, a tu pięć kobiet

/strażniczek/ zaczyna nas rewidować. Ukradkiem podałyśmy makaron konwojentowi i ten po rewizji oddał nam torebkę. Konwojenci to byli młodzi żołnierze w służbie czynnej. Wśród nich, pod koniec mojego pobytu na Kołymie spotykało się nawet Polaków /jeden był spod Grodna/.

W obozie na 18-tym kilometrze pracowałyśmy w cegielni - na 3 zmiany po 8 godzin. Była to bardzo ciężka praca. Potem okazało się, że nie wolno zatrudniać przy niej kobiet, ale myśmy już wtedy po parę lat tam pracowały przy wypalaniu cegieł w piecach, przy formowaniu cegieł i wożeniu. W piecach cały czas unosił się pył i sadze. Kąpiel była obowiązkowa - codziennie, chustka na głowę po miesiącu rozsypywała się na drobny mak. Można było sobie wyobrazić, co działo się z naszymi płucami. Były tam 32 piece, każdy mieścił 5 tysięcy cegieł. Ja zalepiałam piece po wypełnieniu ich cegłami - to była jedna z lżejszych prac. Ale inne kobiety musiały załadowywać i wyładowywać piece, wozić cegły taczkami. W piecach temperatura dochodziła do 1200°C. Podgrzewanie elektryczne i węglem. Cegielnia była na Marczekanie - doprowadzano nas tam z obozu.

Przy lepieniu tych pieców pracowała ze mną jedna Polka - polecona przeze mnie brygadziście. Potem zaczęło brakować gliny i zmniejszono ilość "zalepiaczy" i jedną zmianę. Moja koleżanka wolała zapewne zostać tutaj niż iść do gorszej pracy. Dziewczyny prosiły mnie o zorganizowanie Świąt Wielkanocnych. Nie mogłam odmówić, chociaż kosztowało mnie to trzy noce nieprzespane, bo np. makaron trzeba było gotować 9 razy /małe naczynia/. W obozie było około 18 Polek. Zrobiliśmy Wielkanoc w naszym baraku /była Irka Krajewska, Mońcia Dudź, Hela Batorzycka, Halina Pila-wa, Jadzia Kisielewska, Jadzia Orłuk, Janka Lis i inne/. Po tych świątach byłam okropnie zmęczona i w pracy ledwo trzymałam się na nogach. Poprosiłam Marysię, żeby mnie zastąpiła i poszłam przespać się trochę w czystym, przygotowanym do naładowania piecu. A ona zawołała mistrza, zaprowadziła go do tego pieca i pokazała mnie śpiącą. Mistrz nie miał wyjścia i zwolnił mnie z tej pracy - ona

została. Wkrótce potem trafiłam na jakąś awanturę między dziewczynami. Jadzia Kisielewska opowiedziała mi, że Ukrainki napadły na tę Marysię, że mnie wydała, że wydała swoją rodaczkę. Ja nawet nie żałowałam tak bardzo tamtej pracy, tylko strasznie mi było przykro, że coś takiego zrobiła Polka.

Przydzielono mnie potem do ładowania cegły. Była to dużo cięższa praca - schylenie się i ładowanie z ziemi do samochodów. Każda z nas musiała podnieść 16 ton cegły dziennie. Pracowałyśmy przy tym w okularach motocyklowych, inaczej nie można było, gdyż w pobliżu można stałe wiał wiatr i pył z cegły wciskał się do oczu.

Po pewnym czasie zabrali mnie do kopania rowów hydraulicznych na budowie. Była to niebezpieczna praca, bo często ściany rowów obrywały się i zasypywały ludzi. W tej brygadzie była wyjątkowo niesympatyczna Litwinka, źle nastawiona do Polaków. W obozach spotykałam sporo Litwinek, z jedną z nich spałam w namiocie - ta była bardzo miła, wesoła, ciągle jakieś psikusy /niewinne/ komuś robiła. Z inną Litwinką - nauczycielką, inteligentną, też bardzo miło ułożyły mi się stosunki. Jak miała być zwolniona z obozu prosiła, żebym jej z waciaka zrobiła kurtkę, /ponieważ trochę wcześniej wracałam z pracy/, potrafiłyśmy okropne obozowe waciaki przerabiać na "eleganckie" kurtki - chciała po wyjściu z obozu wyglądać po ludzku. Pracowałyśmy wówczas w sowchozie przy sianokosach, a Irena - Litwinka - przy kopaniu ziemniaków. W barakach światło było tylko w pobliżu pieca - beczki, tam też skupiały się prawie wszystkie mieszkanki baraku. Musiałam więc szyć tę kurtkę przy piecu - żeby coś widzieć. Dziewczyny gotowały sobie ziemniaki na tym piecu. Jakaś Ukrainka niezręcznym ruchem zrzuciła garnek z wrzącą wodą prosto na moje nogi. Bolało strasznie, odeszłam do punktu sanitarnego, gdzie mi założono opatrunek. Tymczasem dziewczyny okropnie napadły na tę Ukrainkę, że była tak nieuważna i kazały mnie przeprosić. Ona się broniła, ale jak zobaczyła pęcherze wielkości pięści na moich nogach, to zaczęła przepraszać. Litwince było przykro, że to się stało pośrednio

przez nią /przez tę kurtkę/, ale ja się roześmiałam i powiedziałam, że dzięki temu wypadkowi dostanę wreszcie zwolnienie lekarskie i wtedy napewno jej tę kurtkę uszyję. Do dzisiaj mam adres tej dziewczyny, ale po powrocie do Polski bałam się nawiązać z nią kontakt, ze względu na nią, oczywiście.

W lecie po kopaniu rowów wozili nas na sianokosy, m.in. w okolicy Tałonu. Jechałyśmy tam niedużym statkiem, a raz - w zimie przewieźli nas do Tałonu samolotem - już na stałe - czyli do końca mojego pobytu w obozie - do lipca 1956 roku.

Na sianokosach "rozzrucano" nas po 12-15 dziewcząt. Mieszkałyśmy w prymitywnych drewnianych szałasach, jedzenie gotowało się na ognisku w zawieszonym na drągu kociołku. Dostawałyśmy do pomocy konia, który zwoził siano do stogów. Codziennie odwiedzali nas dwaj konwojenci na koniach, równocześnie przywożąc chleb i należne nam racje żywności. Odwiedzały nas tam także misie, czasami podkra-
dając rybę, którą z braku bardziej odpowiedniego miejsca umieszczaliśmy w pobliskiej rzece i przywiązywały sznurkiem do drzewa. Kosić oczywiście nie umiałam, uczyła mnie tej pracy koleżanka - Polka, Jadzia Kisielewska. Pamiętam, jak stała za mną i mówiła: bierz szerszy pokos, większy rozmach itd. Obok niej stała starsza Ukrainka i kiedy oddali-
łam się trochę, sądząc że ja nie słyszę, powiedziała do koleżanki: Jadziu, ty jej nie ganiaj, popatrz tylko jaka ona szczuplutka. Z rozrzewnieniem wspominam współczucie tej kobiety, przecież wszystkie byłyśmy w jednakowej trudnej sytuacji i nikt się nad nami nie rozczulał. W tej grupie było kilka Polek, oprócz Jadzi i mnie była p. Maria Malec, Elżbieta Łobanowicz, Marysia Brzezińska. Pomimo możliwości zbierania trochę jagód, wyżywienie było bardzo marne, a praca fizycznie wyczerpująca. Dziewczeta nasze postanowiły więc podkraść trochę kartofli. Można by je nakopać tylko w nocy, w sowchozie oddalonym o około 20 km, a przedtem łódką przepłynąć się na drugi brzeg rzeki. Żeby nie nieść kartofli na plecach, dziewczęta z dwóch sąsiadujących ze sobą grup na sianokosie wzięły

ze sobą konia. U naszych sąsiadów była klacz ze źrebakiem, dość kapryśna zresztą, bo często nie chciało się jej zwozić siana, wówczas kładła się na łące i żadna siła nie mogła jej podnieść, a siano dziewczęta nosiły same. Tym razem uważały, że będzie z niej jakaś korzyść, wzięły też źrebaka i trochę owsa. Konie miały również racjonowaną żywność, często więc bywały głodne jak i my, nie bardzo więc dziwię się, że odmawiały posłuszeństwa. Dziewczyny przywiązały klacz do drzewa, źrebak biegał dookoła. Po udanej przeprawie już z łupem czyli ziemniakami okazało się, że źrebak znalazł schowany owies i zjadł go. Na szczęście nic mu się nie stało, tylko jego głodna matka nie chciała potem wozić siana.

U nas była Nachodka, sympatyczna klacz. Ponieważ lubię zwierzęta, często starałam się ulżyć końskiej doli, choć to nie należało do moich obowiązków. Sama mocno zmęczona zносиłam jej siana do podścielenia, poganiałam komary, czasami dzieliłam się z nią swoją kaszą. Nachodka odwziewczała mi się darząc szczególną sympatią. Poznawała po krokach, kiedy rano szłam umyć się do rzeki i rżała cichutko, wyróżniała mnie wyraźnie spośród innych koleżanek.

Pewnego razu poszłam kosić w mokrych butach, po prostu nie było gdzie ich wysuszyć. Zmarzłam tak w nogi, że zemdlałam z zimna. Koleżanki, które kosiły w pobliżu znalazły mnie nieprzytomną z leżącym obok twarzy ostrzem kosy.

Pamiętam też, że chcąc się ogrzać, bo zimno było na dworze, rozpaliłyśmy piecyk w swoim szałasie. I gdyby pani Malec nie wyszła na zewnątrz, spaliłybyśmy się pewnie lub conajmniej poparzyły. Otóż szałas nasz zapalił się od iskry na dachu, a wiatr rozdmuchiwał ogień błyskawicznie. Pani Maria narobiła alarmu i sama weszła na dach ze zręcznością kota. Podawałyśmy jej wiadra z wodą bez przerwy, aż do ugaszenia pożaru, natomiast p. Malec nie potrafiła już sama zejść z dachu, musiałyśmy ją zdjąć. Była od nas starsza, miała dorosłych synów. I zupełnie nie pamiętała w jaki sposób znalazła się na dachu.

W kwietniu 1955 roku zostałam przewieziona wraz z grupą innych kobiet samolotem do Bałagannoje. Rolę lotniska speł-

niała oczyszczona tafla lodowa na morzu Ochockim. Początkowo użyto nas do rozładowywania barek z owsem /po 50 kg work/, potem worki z cukrem - po 100 kg. Musiałyśmy wyglądać z tymi workami jak mrówki dźwigające ciężar parokrotnie przewyższający wagę ciała. Niewolnik jednakże był niżej ceniony od zwierzęcia. Koń lub krowa posiadały jakąś wartość materialną i za niewłaściwą eksploatację ich nakładane były kary. Więźniowie nie przedstawiali wartości, można więc ich było zamęczyć na śmierć bezkarnie.

Następnie zostałyśmy przewiezione do odległego o 36 km Tałonu. Stamtąd trafiłam na 30 km do sowchozu /państwowe gospodarstwo rolne - PGR/. Tu warunki bytu były nieco lepsze. Nie nosiłyśmy już numerów, do pracy chodziłyśmy bez konwoja, spałyśmy na łózkach, a nie jak dotychczas na piętrowych pryczach. W baraku było nas po około 20, a nie 150. Chleb nie był ściśle racjonowany, nie było go jednak pod dostatkiem i wyżywienie naogół liche. Lżej było o tyle tylko, że nam płacono za pracę jakieś nędzne grosze, za które można było kupić coś w sklepie w Tałonie, odległym o 6 km. Na osiedlu mieszkał z nami strażnik, miałyśmy jednak pewną swobodę ruchu, dużo większą niż w obozie. Tam nadal panował dotychczasowy rygor, my zaś, pracownice z 30 km, mogłyśmy wejść do obozu i wyjść stamtąd bez sprzeciwu straży. Uprawa ziemniaków, ogórków w inspektach czy małej ilości pomidorów w cieplarni mogła opłacać się tylko przy wykorzystaniu niewolniczej pracy. Z uwagi na klimat i krótki okres wegetacyjny, nic oprócz trawy tam nie rosło. Trzeba było ogromnego nakładu pracy, żeby zasadzić choćby ziemniaki.

Około ~~20~~¹⁰ czerwca z pół schodził śnieg, a 20 września już była zima w pełni. Aby przyspieszyć topnienie śniegu na polach o dwa tygodnie, rozwoziłyśmy na nartach i rozsypywałyśmy piasek. W ten sposób ciemna powierzchnia pół przyciągała promienie słoneczne i śnieg topniał wcześniej. W międzyczasie należało szykować sadzonki ziemniaka w ogrzanych pomieszczeniach. Sadziło się je do ziemi już z zielonymi listkami lub wyrosniętymi chrząstkami.

Dzięki białym nocom /dużo światła/ ziemniaki wyrastały często bardzo duże, nie zakwitały jednak, a bulwy były wodniste, pokryte cienką skórką, psuły się, więc w zimie. Na ogórki szykowało się inspekty. W tym celu rozpalało się ogromne pryzmy nawozu, wywoziło się mnóstwo śniegu, narzucało się gorący nawóz, przysypywało ziemią. Ponieważ na północy nie ma pszczoł, dziewczęta musiały zapylać kwiaty, leżąc całymi dniami w inspektach i dobierając odpowiednio płęć kwiatów.

W rezultacie wyrosło parę kilogramów ogórków przeznaczonych tylko dla władców niewolników. Pomidory, jako rośliny wiatropylne nie sprawiały tyle kłopotu z zapylaniem, z powodu zimna jednak słabo się udawały. Jedynie trawa wyrastała wysoka. Kosiliśmy ją i układaliśmy w dużych pojemnikach na silosy całymi tonami. W zimie zabierano ją i przewożono kilkanaście kilometrów dla krów, których zresztą nawet nie widziałam, nawóz przywożono i układano w pryzmy.

Zamęczano nas pracą, której rezultat był znikomy. Zaczęły do nas dochodzić słuchy o zwalnianiu więźniów. Każda więc z nas starała się przyszykować sobie jakieś buty czy ubranie, odłożyć parę groszy na ewentualną podróż. Mnie udało się po godzinach pracy zarobić trochę koszniem dla wolnych. Oni także musieli obowiązkowo dostarczyć pewną ilość ton trawy, a kosić im się nie chciało. Angażowali więc do tej pracy dziewczyny najlepiej koszące, do których i mnie zaliczano, oddawali też nam pieniądze otrzymane za trawę. Różnica między zapłatą za tę samą pracę wolnym i nam była ogromna. Na przykład za dwa popołudnia koszenia dwom dziewczynom, wolnym zapłacono tyle, co nam za cały miesiąc. Między nami było kilka bandytek. One wprawdzie pracowały, ale zachowywały się rażąco, choćby przez skandaliczne słownictwo. Pewnego razu jedna z nich umówiła się z jakimś złodziejem i wpuściła go w nocy do naszego baraku, kierując go do mnie. Nie była nawet do mnie źle nastawiona, w jej mentalności znaczyło to sprawienie mi wielkiej przyjemności. Bandzior pomylił się widocznie i poszedł do mojej sąsiadki, którą była starsza Estonka - po czterdziestce. Tamta zaczęła krzyczeć i wołać pomocy, więc ja wstawiłam się za

nią. Wówczas ten zostawił Estonkę i przyszedł do mnie. Byłam silna, broniłam się więc dzielnie, ale żadna z moich 18-tu współlokatorek nie przyszła mi z pomocą, nawet sąsiadka, którą obroniłam. Pewnie tragicznie dla mnie skończyłoby się całe zajście, gdyby nie nadeszła nieoczekiwana pomoc. Przyszedł drugi bandzior i siłą wyciągnął z baraku tego pierwszego, widocznie śledziła ich milicja. Swoim koleżankom wygarnełam nazajutrz pretensję, że mi nie pomogły, nie wszystkie jednak zrozumiały, że gwałt jest czymś potwornym.

Północne lato mija szybko. W drugiej połowie września jest już zima, długie noce. Jeśli do końca sierpnia nie wykopie się z takim trudem posadzonych ziemniaków, zamarzają na polu i cały wysiłek idzie na marne.

W 1955 roku zdarzyła się w Tałonie taka zima, jakiej najstarsi jej mieszkańcy nie pamiętali. Otóż w pełni zimy, w październiku zaczął padać ulewny deszcz, co trwało trzy doby. Ziemia była zamarznięta, woda mieszała się ze śniegiem, ale nie wsiąkała w grunt. My wszystkie miałyśmy zimowe umundurowanie, a więc walonki, w których nie można było wyjść poza barak. Dobrze, że jedna z koleżanek miała jakieś "wykombinowane" trzewiki. Ta jedna para butów była "dyżurna" dla nas wszystkich. Po trzech dobach nastął znowu siarczysty mróz. Podobne zjawisko powtórzyło się jeszcze raz w grudniu, znowu trzy doby ulewy i następnie mróz. Śnieg z zamarzniętym deszczem stał się tak ciężki, że załamywały się dachy pod jego ciężarem. Kazano nam więc zrzucić śnieg z dachów. Bardzo często my również zjeżdżałyśmy razem ze śniegiem, nie pamiętam jednak żadnych złamań kończyn.

Nastała wiosna. Ta trwa na północy kilka dni. Śnieg topnieje gwałtownie i spływa do rzek. Tym razem jednak było go tak dużo, że dwie niewielkie rzeczki, między którymi znajdowało się nasze osiedle nie były w stanie przyjąć tak wielkiej ilości wody.

Nastąpiła powódź. Dziewczęta, które mieszkały w barakach musiały natychmiast przenieść się na strych. Ja mieszkałam wówczas w pokoiku wraz z dwoma kobietami w tzw.owoszcze-

chraniliszczu, czyli w ogromnej ziemlance, w której na półkach przechowywało się ziemniaki utrzymując odpowiednią temperaturę /0,5 - 1°C/. Trzy osoby w pokoiku, to już wielki luksus, jak na warunki obozowe. Żywność dowożono na łódkę lub motorówką z Tałomu. Nasza trójka miała o tyle dobre warunki, że mogliśmy ugotować sobie trochę ziemniaków. Nie trwało to jednak długo, ponieważ woda zalała nasze pomieszczenie i palenisko w piecu. Musiałyśmy się wynieść na strych, gdzie było strasznie zimno i czekać aż nam dowiozą lub nie dowiozą trochę chleba. Koleżanki, które mieszkały na strychu nad barakiem znalazły się w znacznie gorszej sytuacji od nas. Musiały czekać na łódkę, która pojawiała się najwyżej raz na dobę, aby je kolejno woziła na nasyp ziemi nad ziemlanką w celu załatwienia potrzeb fizjologicznych. Taka "sielanka" trwała trzy tygodnie, aż wreszcie woda zaczęła opadać. Z kolei ogarnęła nas plaga komarów, największa od początku uwięzienia. Komary cięły nas nie tylko w dzień, ale i w nocy wciskały się najmniejszymi szczelinami lub przez komin do pomieszczeń mieszkalnych. Staraliśmy się odpędzać je dymem, dorzucając do naczynia z gorącym węglem wilgotną trawę. Rezultat był taki, że same byłyśmy bliskie uduszenia, a komary cięły dalej. Żeby móc choć trochę odpocząć i zasnąć w nocy wymyślałyśmy sobie różne "klosze" z gazy, naciągnięte na drewnianą ramkę. Mój pobyt w łagrach miał się już jednak ku końcowi.

Zwolniono mnie na podstawie orzeczenia specjalnej komisji, która przyjechała z Moskwy i sądziła nas po raz drugi. Oni mieli wszystkie nasze dokumenty, sprawdzali różne rzeczy, pytali. Nie wiem z czyjego zalecenia przyjeżdżały te komisje, ale w 1956 roku wszystkim politycznym rewidowali wyroki. Wtedy u władzy był Malenkov. Mnie już i tak tylko pół roku zostało do końca wyroku, gdyż ktoś z naszej sądzonej grupy napisał pismo z prośbą o rewizję /ponowne rozpatrzenie sprawy/ i całej grupie zmniejszono wyroki do 10 lat. A ponieważ ja siedziałam już 8 lat, miałam półtora roku "zacziotów", więc

dla mnie niewielka była łaska - to wcześniejsze zwolnienie. Dali nam zaświadczenia /tzw.sprawki/ i z nimi pojechaliśmy do Magadanu. Tam dano nam kwaterę w opuszczonym obozie, skąd wypuszczono nas dopiero po wyrobieniu paszportów. Zwolniono wówczas około 100 kobiet /był to ostatni zlikwidowany obóz kobiecy dla politycznych/. Ten ostatni proces miał charakter tzw. zamazania sprawy, a wyrok brzmiał: "niecelowe dalsze przebywanie w obozie". Dzięki temu nie miałyśmy zsyłki, jak więźniowie wcześniej zwolnieni. Byłyśmy więc w pełni wolne.

W Magadanie byłam około dwóch tygodni. Dali nam dokumenty, bilety na statek i pieniądze /niewiele/. Zebrała się nas czwórka Polaków: Hela Jursza, Bronek, którego nazwisko zapomniałam, Janek Komorowski i ja. Przed podróżą porobiliśmy niezbędne zakupy - głównie żywności, ponieważ z uwagi na szczupłość naszych kieszeni nie stać nas było na restaurację na statku. Mnie udało się kupić od koleżanki buty, miałam z domu sukienkę w dobrym stanie, ponieważ nie wolno jej było nosić w obozie, *Kupiłam płaszcz.* Janek również kupił sobie brązowy płaszcz, nie wyglądałyśmy więc na nędzarzy prosto z obozu. Nie wiem jak dojechałybyśmy do domu same, bez naszych chłopców. To oni opiekowali się nami i byli obroną przed bandziorami, których na statku było bardzo dużo. Same nie mogłyśmy się nigdzie ruszyć, nawet do ubikacji musiałyśmy chodzić pod " eskortą" kolegów. Podróż była oczywiście ogromnie przyjemna.

Wracało się przecież z piekła do jakiegoś normalnego świata, do domu, do bliskich. *Przyjeżdżamy statkiem "Batkan" do Nakhodka a stamtąd kolejną pociąg do Moskwy.* Tam mieliśmy przesiadkę, musieliśmy czekać długo na swój pociąg. Obok nas siedział podoficer w polskim mundurze, rozmawiałyśmy więc ze sobą dość głośno, chcąc zwrócić na siebie jego uwagę, przecież języka polskiego w Moskwie nie słyszy się zbyt często. I ku naszemu rozczarowaniu wojak wogóle nie zareagował na naszą konwersację. Obecnie rozumiem, że on prawdopodobnie był takim Polakiem jak ja Turczynką i polskiego języka nie znał, nosił tylko polski mundur. Wówczas jednak jeszcze nie wiedzieliśmy o tym.

Rozmowę naszą usłyszał natomiast rodak, który tak jak my wracał z obozów w Karagandzie. Przyłączył się do nas natychmiast. Wyraźnie jednak spoglądał na mnie z dezaprobatą. Uważał, że jestem zbyt elegancka, że na ubranie musiałam zarobić nierządem. Patrzył na mnie uporczywie z potępieniem. Wytrzymałam ten wzrok, patrząc mu prosto w oczy.

Minęło już ponad trzydzieści lat od tego czasu, lecz ja dotychczas nie mogę zapomnieć tej pochopnej opinii. Jak śmiał tak sądzić? Na ten płaszcz zarobiłam kosztem i zaradnością, jaka cechowała prawie wszystkich ^{ciężko} rodaków w łagrach. Do dzisiaj boli mnie taki osąd nie tylko tego rodaka, ale też wielu innych. Dotyczy to oczywiście wszystkich Polek, które przeszły przez łagry. Jest to niesprawiedliwe odzieranie nas z wielkiej godności, z jaką reprezentowałyśmy swoją Ojczyznę nawet tam, na nieludzkiej ziemi. Przecież mężczyźni mogli tylko czasami obserwować zachowanie się kobiet - kryminalistek, odartych z jakiegokolwiek moralności, zasad, skrupułów. Na tej podstawie w żadnym wypadku nie wolno osądzać swoich rodaczek, ponieważ nawet naganego prowadzenia się tych bardzo nielicznych, nie sposób porównywać do wyuzdania bandytek. W Moskwie rozjechaliśmy się w różne strony. Z Jankiem rozstaliśmy się w Baranowiczach. On pojechał do Kobrynia, ja dojechałam do stacji Mosty. W Piaskach mieszkał ojczym z mamą, która wróciła 4 miesiące przede mną z zesłania w Krasnojarskim Kraju. Mama była tam około 8 lat. Miała zerwane ścięgna w nogach, nie mogła pracować fizycznie, więc zarabiała różnymi robotkami: umiała pięknie haftować, robić papierowe kwiaty itp.

Po zwolnieniu z obozu wysłałam telegram do domu zawiadamiający o moim powrocie, ale jak przyjechałam, to mnie mama nie poznała - tak się zmieniłam.

W Piaskach byliśmy niedługo. Złożyliśmy dokumenty o wyjazd do Polski. Ojczym też był przesładowany, przesłuchiwany. W czasie przypadkowego spotkania w Grodnie śledczy mu poradził, żebyśmy wszyscy wyjechali do Polski. A mnie - jeszcze w czasie przesłuchań na Kołymie

jeden ze śledczych powiedział: "właściwie jedyną waszą winą było to, że nie wyjechaliście do Polski".

Do Polski wyjechaliśmy w końcu stycznia 1957r. w ramach repatriacji. Po powrocie do kraju nie byliśmy represjonowani. Zawsze podawaliśmy w życiorysie całą prawdę. Nie miałam trudności z otrzymaniem pracy, bo nasz zawód /farmaceutów/ był deficytowy. Po powrocie skończyłam średnią szkołę - Technikum Farmaceutyczne w Warszawie.

Na studia nie mogłam sobie pozwolić, nie tyle ze względów materialnych, co psychicznych. Pobyt w obozach zupełnie człowieka wyjałowił intelektualnie, a w dodatku ja miałam te zaniki pamięci. Zawsze marzyłam o studiach, ale to nie było możliwe również dlatego, że musiałam pomóc ojczymowi jakoś się zagospodarować, co nie było łatwe. Rodzice dostali mieszkanie w Raciążu, ja i ojciec - pracę.

Miejscowi mówili na nas "Ruski", co mnie doprowadzało do pasji. My mówiliśmy śpiewnym akcentem, ale po polsku. Z czasem jakoś się ułożyło. Kościół odegrał tu bardzo pozytywną rolę. Poza tym solidnie pracowaliśmy i mieszkańcy Raciąża dotychczas nas za to cenią i darzą zaufaniem.

Nie czuję nienawiści do ludzi, ani żalu, czy goryczy za tamte lata. Nawet - za straconą młodość. Nie chcę i nigdy nie chciałam ~~na~~ nikim mścić się. Mam określony stosunek do tego systemu, ale nie do poszczególnych ludzi - oni może nawet nie wiedzieli co robią. Według mnie Rosjanie są lepsi od Niemców, jako naród są uczuciowi i uczynni. Ja Niemcom nie ufam, a Rosjan darzę pewną sympatią.

Raciąż, listopad 1989 rok.

Nagrywała
Małgorzata Giżejewska

Y. Olszew

P O S Ł O W I E

Po czterdziestu z górą latach od przejścia przez piekło na ziemi napisałam, a właściwie uzupełniłam nagrane na taśmie wspomnienia z tamtych, jakże odległych już czasów.

Zdaję sobie sprawę, że opisałam tylko znikomą część swoich przeżyć, jest to zaledwie ich zarys. Pamięć ludzka ulotna jest, a nie mogłam korzystać z żadnych notatek na bieżąco, ponieważ takich nikomu z nas nie pozwalano robić. Jeśli nawet ktoś próbował notować, to nieustające rewizje osobiste /2 razy dziennie - przed wyjściem do pracy i po powrocie/ i bardzo częste w barakach, likwidowały każde słowo pisane lub drukowane. Mnie na przykład odebrano nawet wyrok, który przecież oficjalnie dostałam na rozprawie Wojskowego Trybunału. Nie zabrałam się do pisania wcześniej z powodu oporów psychicznych, po prostu nie miałam sił na rozdrapywanie przyschniętych ran i przeżywanie tego koszmaru na nowo. Przyznam się, że i dzisiaj spełniam tę powinność wobec współczesnych i potomnych Polaków z wielkim trudem. Zdaję sobie sprawę, iż jestem jednym z niewielu już żyjących świadków historii II Rzeczypospolitej Polski, której dzieje w ciągu pięćdziesięciu lat były zakłamywane lub przemilczane i tylko dlatego zdobyłam się na wysiłek, by dać świadectwo prawdzie. Trudno jest odtworzyć straszne przeżycia ośmiu lat na kilkudziesięciu stronicach papieru. Chyba jednak jeszcze trudniej jest oddać atmosferę tych wydarzeń i stan psychiczny ludzi, w których intensywnie likwidowano każdy pozytywny ludzki odruch. Rozdzielano rodziny, przyjaciół, niszczone najmniejszą próbą samodzielności. Zameczano nas pracą ponad ludzkie

siły w warunkach bytu tak złych, że z rozkoszą zamienilibyśmy się ze zwierzętami domowymi - te były przynajmniej karmione lepiej od nas. Przez prawie osiem lat chodziłam stale głodna i największym moim marzeniem było, aby raz w życiu najeść się chleba do syta.

Musieliśmy też znosić bardzo trudny klimat w północnej części ZSRR.

Wygłodzony i umęczony człowiek staje się zwierzęciem, gotów jest wydrzeć kawałek chleba innemu, człowiekowi jak on, w skrajnych wypadkach nawet mordować.

I trzeba naprawdę ogromnej siły woli, aby tym zwierzęciem nie zostać.

My Polacy, a i inne narody chrześcijańskiej Europy, mieliśmy wszczepione od kolebki zasady etyki religijnej, które nam pomagały pozostać do końca człowiekiem.

Znacznie gorzej było z ludźmi, którzy tych zasad nie posiadali. Z lada powodu lub zgoła bez powodu zdarzały się nagminne mordy, grabieże, nie mówiąc o zwyrodnieniu seksualnym, czy seksualnych zbrodniach.

Polscy więźniowie sowieckich łagrów przeszli przez piekło, jakiego nikt z normalnie żyjących ludzi nie jest w stanie wyobrazić, a mimo to przynajmniej ogromna ich większość nie stała się diabłami.

Dwa pokolenia Polaków II Rzeczypospolitej walczyło o jej wolność, poświęcając bez sekundy wahania życie, całą ewentualną przyszłość, cierpiąc bez cienia skargi trudy i męki w obozach hitlerowskich i stalinowskich, walcząc na wszystkich frontach drugiej wojny światowej, walcząc w podziemiu.

Ulegliśmy przemocy, a sojusznicy obeszlili się z nami zdradziecko i okrutnie.

Nie przynieśliśmy jednak wstydu swojej Ojczyźnie.

Następne pokolenia mogą być dumne z właściwej i zdecydowanej postawy, a często bohaterstwa swoich przodków.

Polsko, kiedy znów wychowasz takich synów i córki, którzy z najwyższym poświęceniem i bez cienia wahania będą Cię bronić, wszystko oddając Tobie?

Przekazujemy pałeczkę sztafety następnym pokoleniom
wraz z obowiązkiem miłości Ojczyzny, wierności Jej dobrym
prawom, godności Jej reprezentowania w świecie, a nade
wszystko - pamięci Jej dziejów i chronienia ponad tysiąc-
letniej kultury - by Polska nie zginęła, by żyła!

Żywię nadzieję, iż ofiary i zmagania pokoleń
Polaków nie zostaną przez potomnych zmarnowane.

J. Olsar